№ 20. Warszawa, dnia 14 (2) Maja 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

SPROSTOWANIA HISTORYCZNE.

Gra ks. Bismarka w „zakryte karty" z prasą austryacką i rosyjską przeciąga się dalej ze wzrastającą obustronnie namiętnością. Dotąd pozostaje niezbadanem, jaki cel ma kanclerz w tem „prostowaniu błędów historycznych," w tem dowodzeniu świadectwami dyplomatycznemi, że ks. Gorczakow za neutralność w wojnie z Turcyą zgodził się na zajęcie Bośnii i Hercegowiny przez Austryę bez wiedzy Niemiec, oraz, że te ostatnie niczem nie przyczyniły się do niepowodzeń Rosyi na Wschodzie. Próbowano rozmaitych kluczów dla odemknięcia tej zagadki. Jedna z gazet pruskich przypuszcza, że on chce tym szachem zagrodzić hr. Andrassemu drogę powrotu do ministeryum spraw zagranicznych i utrzymać Kalnokego. Inni sądzą, że temi odkryciami pragnie ubezwładnić partyę antiniemiecką w Rosyi. Wszystkie te wszakże domysły są równej, to jest wątpliwej wartości. Niektóre z nich zrodziły się w wyobraźni naiwnej. Tak np. *Birżew. Wiedomosti* opowiadają baśń następującą. Z raportu, złożonego ustnie przez ambasadora niemieckiego w Petersburgu, kanclerz doszedł do przekonania, że znaczny spadek rubla, wywołany nieprzebierającą w środkach agitacyą giełdy i prasy berlińskiej przeciwko kredytowi państwowemu Rosyi, zbudził w całem jej społeczeństwie tem głębsze i przykrzejsze wrażenie, że równocześnie ukazały się w półurzędowych gazetach niemieckich ostre przeciw niej wycieczki. Mogło to nasunąć podejrzenie, iż po za giełdą działa dyplomacya. Skutkiem tego „ks. Bismark uważał za właściwe dać do zrozumienia niemieckiemu światu finansowemu, że ten ostatni postąpiłby w danej chwili patryotyczniej względem ojczyzny, gdyby powściągnął nieco spekulacye giełdy berlińskiej, które istotnie posunęły się trochę za daleko." Przytoczyliśmy tę improwizacyę dla okazania, czego się nie czepia pomysłowość w niewiadomości zamknięta.

Ponieważ każda niemal większa gazeta zagraniczna ma jakiegoś dostojnego suflera, który jej niewidomy szepcze tajemnice sprawy, więc i nasz *Karyer warsz.* wynalazł sobie „byłego członka dyplomacyi europejskiej," który mu udzielił odmiennych promyków, oświetlających ciemność. Promyki te, przepuszczone przez pryzmat dziennika polskiego, zasługują na baczniejszą uwagę, tem bardziej, że zawierają tyle cech prawdopodobieństwa, co inne, zdala do nas płynące. Według tego „najpoważniejszego źródła," ks. Gorczakow (nie wskazano — kiedy) określił tak logikę położenia: Traktat paryski musi być doszczętnie usunięty; Rosya, która „nigdy nie ze swego terytoryum tracić nie może," musi odzyskać część Besarabii, przyznaną Rumunii. Co do innych zmian na półwyspie Bałkańskim, zastrzega się porozumienie z Austryą, która zawsze wspólnie z Rosyą w obronie chrześcian na Wschodzie występować będzie. Ze strony austryackiej zaznaczono potrzebę wynagrodzenia i wzmiankowano o Bośnii. Nie zawarto umowy, lecz przygotowano zjazd w Reichstadt (1876). Tu nie było jeszcze mowy o wojnie z Turcyą, ale stwierdzono powyższe punkty z dodatkiem, że Bośnia i Hercegowina przypadną Austryi w razie zmian na Wschodzie, o których rozstrzygnie kongres europejski. Na dowód przyjaźni rząd austryacki mianował swym posłem w Konstantynopolu zwolennika Rosyi — hr. Zichy. Gdy miała wybuchnąć wojna rosyjsko-turecka, gen. Sumarokow przywiózł do Wiednia przyzwolenie zajęcia Bośnii i Hercegowiny. Bismark radził skorzystać z oferty, Andrassy oparł się. Po traktacie sanstefańskim Anglia, nastraszywszy Rosyę, wymogła na niej podział Bułgaryi. Ks. Gorczakow zażądał kongresu (berlińskiego), na którym przyszło do poważnych starć. Ponieważ Austryę chciano odprawić z pustemi rękami, Bismark poradził Andrassemu, ażeby zagroził zerwaniem obrad; wtedy Anglia z Rosyą (ostatnia milcząco) zezwoliły na „czasowe zajęcie" Bośnii i Hercegowiny przez Austryę.

Tak rzecz przedstawia „były członek dyplomacyi europejskiej" *Kuryera warsz.* Przedstawienie to — mówimy — może mieć tyle wiarogodności, co każde inne. Że jego autor przeskakuje frazesem szczegóły do objaśnienia trudne, to dostrzeże nawet krytyka powierzchowna. Niewytłomaczone np. dotąd ustąpienie hr. Andrassego uzasadnia tem, że on początkowo z rąk Rosyi nie chciał przyjąć Bośnii i Hercegowiny, które dopiero na kongresie wytargował. Ale czyż to było „zupełne *fiasco?*" Owszem, nabytek zyskiwał pozory większej prawomocności. Wątpliwe są również inne twierdzenia.

Bądź co bądź, mimo znacznych różnic, wszystkie sprawozdania zgadzają się w kilku punktach: 1) że rozbiór a przynajmniej obłamanie Turcyi było przedsięwzięciem wcześnie ułożonem, 2) że Austrya w wojnie rosyjsko-tureckiej sprzedała swą neutral-

ność i 3) że zajęcie przez nią Bośnii i Hercegowiny nastąpiło za zgodą Rosyi.

Te wyjaśnienia historyczne są bardzo znamienne i ważne, ale nie odsłaniają celu, jaki ma ks. Bismark w głoszeniu ich. Godnym uwagi jest również ich skutek—mianowicie rozdrażnienie prasy rosyjskiej na „uczciwego meklera,“ który ją ciągle przekonywa o swej życzliwości, a przynajmniej niewinności. „Przebiegłość kanclerza niemieckiego — pisze *Now. Wremia* — jest zadziwiającą. W ostatnich dziesięciu, czy piętnastu latach potrafił on zawierać na rzecz Niemiec wygodne układy i z Austryą, i z Anglią, i nawet z Turcyą, że już pominiemy Włochy i Hiszpanię — a pozostawać jednocześnie przyjacielem niezmiennym dyplomacyi rosyjskiej. Jeżeli dziś w gazetach swoich szydzi z nieboszczyka ks. Gorczakowa i jego najbliższych współpracowników, można sobie wystawić, jakiemi zdaniami uczęstuje dyplomacyę rosyjską z bieżącego dziesiątka stulecia naszego, jeżeli trzeba będzie wyświetlić z niemieckiego stanowiska nieporozumienia, nagromadzone w czasach ostatnich, i usprawiedliwić politykę niemiecką w stosunku do Rosyi.“

Obawa całkiem słuszna. Boć jeżeli ks. Bismark tak szydzi z niedawno zmarłego ks. Gorczakowa, to skąd pewność, że dziś nie drwi w duchu z żyjących „przyjaciół,“ a potem — tylu młodszych wyprzedziło go do grobu! — nie uczyni tego głośno — w *Nordd. Allg. Ztng?* Co powiedział kiedyś do posłów parlamentu: „gdybyście wiedzieli, jak się śmieję, gdy was opuszczę“— to niewątpliwie powtarza o dyplomatach. Z każdego wiersza owych „sprostowań historycznych“ wygląda szydercza twarz Mefista, który, zapewniając różnych Faustów o swojej dobrej dla nich woli, jednocześnie parska złośliwym śmiechem z ich naiwności.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sejmowi pruskiemu dano do poświęcenia ostatni pęk rózeg lektorskich na polaków—nowy podział powiatów w dzielnicach polskich na obwody mniejsze, ażeby liczniejszym zastępem landratów mocniej przycisnąć tępiony żywioł. Przy tym obrzędzie odegrała się zwykła scena wszelkich tego rodzaju „błogosławieństw“ gwałtu: p. Tiedemann był prokuratorem, posłowie polscy oskarżonymi, Windhorst niezmordowanym obrońcą, a minister Putkamer sędzią. Ten ostatni, wykręciwszy poprzednich królów pruskich sianem co do przyrzeczeń (jak wiadomo — niewartych dla ks. Bismarka szeląga), dał podsądnym lekcyę moralności politycznej i zapowiedział uroczyście, że gdyby nawet Opatrzność zechciała okazać łaskę polakom w przyszłości, on przeciwstawi się jej wyrokom. „Nie śmiem— rzekł odważny minister — odgadywać historyi, nie wiem, czy leży w zamiarach Opatrzności, aby Polska była odbudowaną; ja osobiście uważam taką myśl za chimerę, ale przypuśćmy, że do tego przyjdzie. Otóż jesteśmy zdecydowani, aby nasze polskie i zachodnio-pruskie prowincye nie stały się częścią tego państwa.“ Bóg pewnie zadrżał, usłyszawszy tę zapowiedź p. Putkamera. Pyszny obraz tego krzyżaka, grożącego Opatrzności. „Mniemam — mówił dalej — że czynniki państwa pruskiego, nie wyłączając sejmu i rządu, myliły się przez całe dziesiątki lat w ocenianiu siły odpornej i zaczepnej narodowości polskiej w stosunku do niemieckiej.

Pocieszano się tem, że ludność niemiecka w tych prowincyach wzrasta i rozszerza swe posiadłości, że wyższość jej kultury pokona wrogie dążenia. Dziś przekonano się, że to było złudzeniem, że konieczną jest „polityka obronna.“ Szlachcic, ksiądz, mieszczanin, wszyscy spiskują i rozwijają niebezpieczną agitacyę. Nawet włościanin zapomniał o „dobrodziejstwach“ nowego poddaństwa. „Im bardziej polska drobna własność ziemska rozwija się gospodarczo, umacnia i poczuwa do samoistności, tem bardziej rosną w niej wspomnienia wielkich tradycyj narodowych i tem ściślej łączy się ona w polityce ze szlachtą. Jest to iluzya, że uda nam się między te dwie klasy wbić klin rozdwojenia na naszą korzyść.“ Jakaż to wspaniała mowa swą nagością a doprawdy pocieszająca nieopatrznemi wyznaniami!

Naturalnie sejm gotów do wszystkiego i tę ustawę przyjął. Teraz wielcy buntownicy, których — według Heinego — tylko raz Luter wstrząsnął religią, ale zaraz Drake uspokoił kartoflami, odgrywają komedyę oporu przeciwko wyższemu opodatkowaniu wódki. Bismark śpi spokojnie—zgodzą się!

Hr. Szuwałow wrócił do Berlina na swe stanowisko, jego więc nieobecność przestała dostarczać trwożących domysłów.

Deputowany Schmerling wniósł do austryackiej Rady państwa projekt ograniczenia praw języka czeskiego, uwzględnionych przez ministra Prażaka. Odparowano zamach śród gorszących scen ze strony niemców, którzy przenieśli awanturę aż do uniwersytetu. Gdy prof. Maasen zganił ów wniosek, studenci wyprawili mu kocią muzykę.

Austrya na kilku punktach czuje trzęsienie gruntu politycznego. Niepojednane żywioły rzucają się na siebie w parlamentach, szkołach, teatrach, a świeżo w Kojetynie na Morawach chłopi napadli na żydów.

W Jassach, siedlisku pierwiastków niezadowolonych, króla rumuńskiego uczęstowano niemiłą demonstracyą. Wprawdzie *Nordd. Allg. Ztng* zapewniła, że nigdy król Karol nie był przedmiotem serdeczniejszego przyjęcia, ale to „nigdy“ ma szczególne w tym wypadku znaczenie.

Na dworze serbskim panują jakieś niesnaski, sięgające aż do pary monarszej. Według jednych, zazdrość miłosna, według innych, niechęć do austryackiej polityki męża spowodowała wyjazd królowej Natalii do Krymu. Urzędownie zrobiła to ona dla zdrowia.

Minister francuski Goblet miał mowę przy otwarciu wystawy morskiej w Hawrze, w której odegrał melodyę nabitą na walce wszystkich katarynek tego rodzaju, że Francya pragnie pokoju, ale gdyby itd. Tymczasem przerwane przedstawienia „Lohengrina“ Wagnerowskiego, mimo oburzenia dzienników, że „Paryżem rządzi garść motlochu“ nie zostały dotąd wznowione.

W Macedonii wrzenie trwa. Regencya bulgarska wyprzysięga się wszelkiej z niem łączności — i do pewnego stopnia wierzyć jej można. Turcya „ma zamiar“ wysłać wojska dla uśmierzenia buntowników, którzy są tyle niegrzeczni, że przypominają jej niespełniony traktat berliński.

Po zatwierdzonej ustawie kościelnej „Ojciec św.“ z cesarzem Wilhelmem zamienili bardzo czułe listy. W Poznańskiem jednak nic nie słychać o zbieraniu świętopietrza.

---

2)

Jego Mość mój syn.

NOWELA

przez

Emila Marriot.

Stary bardzo niezadowolony był ze wszystkiego, co słyszał. Życie syna wyobrażał sobie całkiem inaczej.

— A co robisz w chwilach wolnych? — spytał nieśmiało.

— Wychodzę często, oglądam osobliwości miasta, a wieczorem czytam lub idę do teatru.

— Do teatru! Wolnoż ci tam pójść, Pawełku? — Czy pozwala na to proboszcz?

— Dużo obchodzi mojego proboszcza, jak i gdzie przepędzam wieczory! Zresztą, on sam jest wielkim zwolennikiem teatru. Jeśli życzycie sobie, zaprowadzę was dziś wieczorem na operę.

— Dobrze, Pawełku, bardzo bym rad pójść, ale jutro raniutko wracać muszę do domu. Dużo tam ciągle roboty, a chłopcy i czeladź nie dadzą sobie z nią rady, kiedy starego nie ma. A teraz pokaż mi całe twoje mieszkanie.

— Całe mieszkanie jużeście widzieli. Mam tylko ten jeden pokój. W Wiedniu nie ma takiego zbytku przestrzeni, jak na wsi. Pierwsze piętro zajmuje proboszcz, a drugie w czterech my dzielimy z sobą. Każdy ma jeden pokój — nic więcej. Ale teraz czas dla mnie do roboty, dodał, podnosząc się. Co wy poczniecie tymczasem, ojcze? Najmijcie sobie może dorożkę i objeżdżajcie miasto. Przed obiadem wszystkie kościoły są otwarte, warto, abyście je obejrzeli.

— Doprawdy, tak zrobię. I twój kościół chciałbym też zobaczyć.

— A więc chodźcie zaraz ze mną, pokażę wam go.

Włożył na głowę biret czarny, wziął ojca pod rękę i poszedł razem z nim do kościoła, sąsiadującego z probostwem.

Stary dotknął wody święconej, zrobił znak krzyża i z czcią rozglądał się po świątyni, obiema rękami przyciskając kapelusz do piersi. Tu syn jego odprawiał msze, miewał kazania, słuchał spowiedzi. Wzruszony i pełen pokory utkwił wzrok w młodym kapłanie i szepnął mu:

— Bardzo ładny twój kościół.

— Bynajmniej nienajładniejszy w Wiedniu — odparł syn i powiódł okiem po pustych ławkach kościelnych.

Stary ukląkł i zmówił krótką modlitwę. Uczciwa jego, śniada twarz wielkie wyrażała skupienie, usta poruszały się zlekka.

Paweł czuł, że ta modlitwa na jego intencyę wznosi się ku niebu; patrzył na klęczącego ojca i widokiem tym szczerze był wzruszony.

— Teraz musisz pokazać mi szaty kapłańskie — rzekł ojciec, skończywszy modlitwę i powstał.

— Chętnie; pójdźmy do zakrystyi.

Stary uznał, że ornaty mszalne bardzo są bogate i wspaniałe.

— Cieszy cię to pewnie, kiedy tak pięknie jesteś ubrany — powiedział do syna w zamiarze rozweselenia i jego i samego siebie.

— Zapewne — odrzekł młody ksiądz z cicha.

Potem rozstali się. Syn poszedł do zajęcia swojego, a ojciec błądził po wielkiem mieście, często się dziwiąc, a nieraz zlekka potrząsając siwą głową. Gdy około południa młody ksiądz wrócił do domu, zastał już ojca.

— Coście widzieli? — zapytał starego.

Ten niewiele miał do opowiadania. Widział dużo domów, piękne kościoły i mnó-

BADANIA NAUKOWE.

PRZEŁOM W SOCYOLOGII.

III.

Prace Morgana i ich znaczenie.

Ustrój rodowy kreśli Morgan według wzorów znalezionych u irokezów. Ród stanowi najniższą jednostkę społeczną, jego członkom nie wolno się wzajemnie żenić. Rządzi się on samodzielnie, wybierając dla spraw cywilnych przewódcę, ale z władzą czysto moralnej natury, bez środków przymusu. Stosunki określa prawo zwyczajowe. W razie potrzeby wojennej mianują wodza, składającego władzę z nastaniem pokoju. Obaj urzędnicy wychodzą z wyboru, przyczem głosują mężczyźni i kobiety; ogół wyborców może usunąć ich, gdy nie odpowiadają wymaganiom. Współrodowcy obowiązani są do wzajemnej pomocy i obrony; kto obraża jednostkę, ma do czynienia z wszystkimi, gdyż na ogóle spoczywa obowiązek zemsty za krzywdę współtowarzysza. Sprawy rozstrzygają się na zebraniu mężczyzn i kobiet. Wszyscy są wolnymi i równymi, wodzowie i przewódcy nie posiadają żadnych przywilejów. Braterstwo — podstawą społeczną. Zajmowane terytoryum jest wspólne, a prawo użytkowania jednakie dla wszystkich; produkcya, o ile odbywa się zbiorowo, sprowadza spółkowinę w spożyciu. Gospodarstwo domowe, kolektywne często dla całego rodu, spoczywa w ręku kobiet. Kilka rodów (opuszczamy pośrednie ogniwo, *bractwo*) składa *plemię*. Posiada ono własne terytoryum, nazwę i narzecze, prawo potwierdzania i usuwania wybranych w rodzie urzędników, radę plemienną, złożoną z przewódców i wodzów oddzielnych rodów, załatwiającą wspólne sprawy plemienia. Na zebraniach rady uczestniczy cały gmin plemienny z prawem zabierania głosu. Przy wyższym stopniu uspołecznienia kilka plemion łączy się w *związek* — na demokratycznej podstawie równości i samodzielności. Jest to zarodek *narodowości*. W takie związki zorganizowane były wszystkie ludy cywilizowane, gdy ukazują się na widowni historycznej (rzymscy *reges*, greccy *basileis* — to tylko wodzowie takich demokratycznych połączeń). Rodowość ma kilka faz rozwoju. Zależą one od warunków zarobkowania; ustrój rodowy we wskazanej postaci odpowiada przejściu od łowieckiego trybu życia do rolnictwa; z uprawą roślin rody oddzielne sadowią się obok siebie, wytwarzając spółkowiny rolne z właściwemi instytucyami prawnemi, określonemi w *Starodawnem prawie* Maine'a. Morgan federacyę irokezką rzuca na tle, utworzonem z podziału dziejów ludzkości na dzikość, barbarzyństwo i cywilizacyę, a bada czynniki przejścia jej w ustroje terytoryalne. Cywilizacyę określa jako epokę zwierzchnictwa mężczyzny nad kobietą i indywidualizmu w rozporządzaniu siłami przyrody, jako zniweczenie równości i braterstwa, leżących w podstawie rodowości, i wyraża przekonanie, że dalszy rozwój zmierza ku wskrzeszeniu dawnych podwalin społecznych, lubo w wyższej formie. Jak pod wpływem stosunków rodowych i sposobów zarobkowania kształtuje się pożycie i podział pracy dokoła domu; jak ludzie zachowują się w wzajemnem obcowaniu towarzyskiem; jak sposób gospodarowania odbija się na zewnętrznych kształtach i wewnętrznem urządzeniu domów i osad, wszystko to rozbiera w ostatniem dziele (*Houses and House-Life of the American Aborignes*, 1881), wydanem przez rząd Stanów Zjednoczonych z licznymi drzeworytami. Rozwija tu ideę, że stosunki społeczne wytłaczają swe piętno na wszystkich stronach życia, nawet na wyglądzie domów i osad. Tak np. plemiona łowieckie żyją we wsiach otoczonych ostrokołem; gdy rolnictwo poczynie stanowić główne źródło zarobkowania i jest prowadzone za pomocą zraszania zbiorowego pól, zjawiają się olbrzymie domy, zbiorowo zamieszkiwane przez ród cały, a gospodarstwo w nich wspiera się na wspólności gruntu. W ten sposób przed oczyma naszemi przesuwają się domy i osady, oraz tryb życia domowego u indyan Ameryki północnej i południowej, międzymorza Panamskiego, Meksyku, Yucatanu itd.

Oto całokształt prac uczonego z Nowego Świata. Tam, gdzie sądzono, że panuje anarchia, gdzie nie widziano najmniejszego porządku, ale ślepą walkę dzikich instynktów i prawo mocniejszego bez pojęcia o własności, rodzinie i rządzie, Morgan odkrywa zgoła odmienny widok: istnieje tu i porządek, i własność, oraz rodzina, lecz ukształtowania odrębnego, niż w Europie. Ludy cywilizowane pozostawiły po za sobą nie despotyzm i samowolę, lecz wyłoniły się z ustroju, którego liczne strony stanowią zawartość najwznioślejszych ideałów chwili obecnej. Jakeśmy zauważyli, wywody przytoczone nie stoją pojedyńczo. Możemy wybrać cały szereg prac, wzajemnie się uzupełniających. Dzieła Hawitta i Fisona, Morgana z uzupełnieniami Engelsa, Powella i Sibera, Maine'a i Maurera, stanowią jedną zwartą całość, zaznajamiającą nas z rozwojem ludzkości od końca dzikości aż po czasy nowoczesnego industryalizmu. Ale Morganowi należy się zasługa wprowadzenia porządku i łączności w te rozpierzchłe poszukiwania oddzielnych badaczów. Jest on pierwszy, który ze znajomością rzeczy jął się uporządkowania materyału przedhistorycznego i, dopóki tenże nie zwiększy się niepomiernie, ugrupowanie faktów dokonane przez amerykanina zachowa całe swe znaczenie.

A jednak, mimo to wszystko, imię jego jest w Europie bardzo mało znane; dopiero Engels przed dwoma laty wywlókł je z ukrycia wraz z doniosłością wywodów. Nie powinno to przecież nas zadziwiać — wszak one wywracają cały gmach gabinetowych teoryjek, ulepionych przez socyologię europejską. Oto przed nami leży obecnie świeże dzieło Letourneau *Rozwój moralności*. W odnośniku do poprzedniego artykułu, mówiąc o przekręceniu ustroju starożytnego Meksyku, z tego dzieła zaczerpnęliśmy cytowany ustęp; podobnych miejsc, którym kłam zadają poszukiwania źródłowe, moglibyśmy znaleźć mnóstwo, a tymczasem taki pofałszowany materyał służy za podstawę dla wniosków socyologa francuskiego. Co więcej, ponieważ postęp moralności ściśle się łączy z rozwojem całokształtu społecznego, przeto dokładne skreślenie jej zawisło od należytego zdawania sprawy z dziejów ludzkości. Tymczasem Letourneau obraca się wśród zwykłego pojmowania rzeczy, a jeżeli wywody Morgana są słuszne, to książka o dziejach moralności traci bardzo wiele na wartości naukowej, lubo może mieć potężne znaczenie społeczne, jako zręcznie ułożona rozprawa przeciw ględzeniom teozoficznym i metafizycznym. Podobnież skoro zgodzimy się na poglądy amerykanina, cała tylutomowa socyologia Spencera, z wyjątkiem tomu pierwszego, traktującego o genezie pojęć religijnych, jest pracą bez większego znaczenia naukowego — społecznego nie dotykam. Wywody tak chwalonego Mac Lennana jeszcze gorszemu ulegają losowi; to zbiór jedynie dowcipnych, a często i soli attyckiej pozbawionych przypuszczeń i domysłów, chcących pogodzić fałszywe spostrzeżenia podróżników. Wzięliśmy kilku koryfeuszów socyologii, maluczkich Hellwaldów nie poruszamy. Przewrót, którego dokonywają spo-

---

stwo ludzi — oto była cała jego odpowiedź. Paweł nie nalegał więcej, lecz zaprowadził go do poblizkiej restauracyi.

— Czy zawsze jadasz i pijasz tak mało, Pawełku? — spytał stary podczas jedzenia. Chłopcy w domu więcej potrafią, niż ty.

— Zdrowsze też od mojego prowadzą życie — odparł syn i przez chwil kilka milcząc patrzył przed siebie. Potem opamiętał się.

— Chodźcie, ojcze, pokażę wam Prater.

Gdy spacerowali po ulicach, zauważył syn, że ojciec ciągle objawia oznaki wielkiego zdziwienia.

— Co wam jest, ojcze? — spytał wreszcie. Czemu się dziwicie?

— Ludzie wszyscy przechodzą koło ciebie, a nikomu nie przyjdzie na myśl zdjąć czapkę! — zawołał stary.

— Dla czegoż mieliby...? Wszak nikt mnie nie zna.

— Ale że jesteś księdzem, każdy widzi po sukni twojej!

Z głosu księdza brzmiało coś na kształt niecierpliwości, która jednak wdrożoną jest do tego, aby nie objawiała się inaczej, jak pewną obojętnością w spojrzeniu i tonie. Znowu odezwał się:

— I po wszystkiem, co mówiłem, dziwi was to? Jesteście niepoprawni...

Onieśmielony umilkł stary, nie mógł przecież przenieść tego, aby za każdym przechodniem po przez ramię nie rzucić wzrokiem pełnym oburzenia. Nie uszło to uwagi syna.

— Po co oglądacie się za wszystkimi? — rzekł dosyć surowo. I bez tego patrzą się na nas—na was w stroju wieśniaczym i na mnie towarzyszącego wam w sutannie. Dajcie ludziom spokój.

Ojciec usłuchał i po cichu myślał o drażliwości syna. Ten znów, jak się zdawało, pragnął zatrzeć niemiłe wrażenie ostatnich słów swoich; przynajmniej bez ustanku pokazywał ojcu budowle, mosty i statki, a stary obowiązkowo zachwycał się wszystkiem — aż w końcu zaszli do Prateru. Ksiądz zaprowadził ojca do tak zwanego „Wurstelprater,“ gdzie bardzo podobało się staremu. Liczne widowiska zaciekawiały go tam niezmiernie, a strzelnice zachęciły do próbowania szczęścia w strzelaniu do celu i wielce był dumnym z tego, że wśród uznania otaczających raz po razie trafiał w czarny punkt.

— Ale tu naprawdę można się ubawić — rzekł rozpromieniony cały.

— Kiedy tylko panu się podoba — powiedział ktoś ze słuchaczów — nie mamy nic przeciw temu!

Inni zaczęli się śmiać, a ksiądz pociągnął ojca za sobą.

— Czy nie macie ochoty na szklankę piwa? — zapytał; chciał w grzeczny sposób oddalić starego od tłumu: sądził bowiem, że ojciec znów za dużo na siebie zwraca uwagi.

Napili się tedy piwa i zjedli coś, potem przeszli do głównej alei, przysłuchiwali się muzyce po kawiarniach, śledzili oczami powozy i jeźdźców; staremu czas przytem zbiegł niepostrzeżenie, podczas gdy synowi nieskończenie wydawał się długim. Raz po raz patrzał na zegarek.

— Teraz czas do teatru — powiedział nareszcie widocznie uspokojony. Bilety już kupiłem.

U wyjścia z Prateru wsiedli do dorożki, która powiozła ich do gmachu opery.

— Cóż robisz, Pawełku? — spytał stary w czasie jazdy, spostrzegłszy, że syn zdejmuje kołnierzyk księży i przypina sobie zwyczajny.

— Czynimy to najczęściej, gdy wchodzimy do teatru. Po co ma w nas każdy poznawać duchownego?

W sali teatralnej naiwne zdumienie starego rozpoczęło się na nowo. Ten przepych! ten wielki dom! tylu pięknych ludzi!

strzeżenia Morgana i innych powyżej przytoczonych uczonych, jest tak olbrzymi, że niespecyaliście trudno go pojąć. I teorye i powagi, wszystko się wali. Można więc zrozumieć milczenie, które panuje w kołach naukowych Europy i to tem wymowniejsze, że są ludzie śmiało wyciągający rękę po nagromadzone przez amerykanina fakty — bez cytowania źródła. Wprawdzie po ukazaniu się „Systemów pokrewieństwa i powinowactwa“ te i owe powagi usiłowały zetrzeć wroga — jedna, Mac Lennan posunął się nawet tak daleko, że dzieło przeciwnika odsądził od wszelkiej wartości, a jednak mógłby zwrócić uwagę chociażby na jego stronę faktyczną, zawierającą tablice pokrewieństwa aż dla 139 plemion, ale i to go nie powściągnęło. Wydał wyrok, że te rzędy pokrewieństwa to nie wyraz rzeczywiście uznawanych stosunków krwi, ale — zbiór zwrotów konwencyonalnych w rodzaju tego, jak nasze małomiasteczkowe panie mówią do starej włościanki: „matko!“ I to ośmiela się twierdzić uczony, stosunki ludów pierwotnych znający ze szperania po różnych, często podejrzanych źródłach z drugiej ręki, o człowieku, który życie spędził wśród indyan i był przez jedno plemię usynowiony — i wszystko w celu wydarcia tajemnic bytowi społecznemu pierwotnych grup ludzkości! Ale *Społeczeństwo pierwotne*, zawierające jeszcze potężniejszy zasób faktów i zadające o wiele dotkliwszą klęskę, przyjęto i pogrzebano w milczeniu. Dzieło widocznie okazało się niżej — wymagań naukowych?! Razi bowiem ono i często yankesowskiem grubiaństwem względem utartych ogólników i „prawd“ naukowych, wyrzucając je jako niepotrzebne śmiecie i demokratyczną swobodą w zapatrywaniu się na wielkość tego świata i iście niesłychaną śmiałością co do spoglądania w przyszłość. Giraud-Teulon, jedyny prawie urzędowy uczony Europy, który uchylił głowę przed doniosłością dzieł amerykanina i przytem przywykł do wolności federacyi szwajcarskiej, i on wskutek tego odsądził go od filozoficznego wejrzenia w istotę społeczną!.. „Nie lubi on arystokracyi, przedstawiającej nierówność w podziale bogactw; obwieszcza, że na przyszłości spoczywa opętanie i ograniczenie prawa posiadaczy — to nas doprawdy zadziwia u takiego uczonego jak Morgan i cokolwiek usprawiedliwia zarzut Mac Lennana, że mu zbywa na filozoficzności umysłu!..“ Europę zraziła jeszcze jedna strona w pracach zamorskiego socyologa — brak owej sumienności drobiazgowej w szczegółikach, niezależnej, według Heinego, od każdego niemieckiego profesora. Polot myśli, świeżość faktów, nowość widnokręgów — zastąpiono gdzieindziej cytatami, które wypisano z wszelką skrupulatnością. Swobodny i potężny umysł Morgana grzeszy w tym względzie — w cytatach greckich przekręca znaki akcentowe, zamiast paragrafu VI przytacza VII. To już wystarcza dla wyroku!

Lud. Krz.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

VIII.

Z pod pióra Anatola Rembe sypią się prawdziwe kwiaty; myśl filozoficzna mieni się, jak przędziwo najczystszej poezyi. Niemcy raz już podziwiali ten jędrny a polotny umysł, który wyciska głęboką pieczęć na tworach swoich, zawsze świeżych, pełnych humanizmu i nieustraszenie wyzywających na bój ciemnotę i zabobon.

Tym razem wydobył on z zamierzchłej przeszłości garść zdarzeń dziwnych i na tle ich osnuł opowiadanie dziejowej wagi. Temat wybrał nie nowy, ale dotąd tylko przez niektórych poważnie opracowywany i stworzył barwny, ponętny obraz, któremu warto przyjrzeć się zblizka, a jeśli nie można, to przynajmniej poznać treść...

Jesteśmy w kraju hebrców w przededniu nowej ery. Jarzmo legionów rzymskich przygniata do ziemi synów „narodu wybranego,“ który z wyżyn potęgi i sławy strącony w otchłań oczekuje cudu. Niedola zapełnia wyobraźnię tysiącem nadziei. Mędrcy utonęli w odwiecznych księgach, szukać przepowiedni zmiłowania bożego. Ciało polityczne zagrożone śmiercią usiłuje wzmocnić przynajmniej ducha plemienia. Patryotyzm dosięga niebywałego natężenia, a że tam spójnią najpotężniejszą było przywiązanie do świętej wiary ojców, więc rozplenił się kult obrządku, ślepa cześć dla litery zakonu. Wykwitła parodya religii — scholastyka, a jednocześnie obłuda i fanatyzm wyciągnęły swe smocze łby. Zjawił się tłum fałszywych proroków — kuglarzy, przebiegających ojczyznę wzdłuż i wszerz i oszustwem werbujących uczniów.

Zdala od zgiełku bazarowego stolicy, w uroczej prowincyi, położonej na kresach ziemi żydowskiej, mniej zarażonej tchnieniem faryzeizmu i zdawien dawna wyklinanej przez prawowiernych, urodziło się genialne dziecię, któremu sądzonem było zakrólować całemu światu i wyrwać go z zepsucia. Płomiennym umysłem pojęło odrazu głębię powszechnego grzechu i postanowiło nieść mu zbawienie. Przyroda miasta rodzinnego, bujna i malownicza, nadała pacholęciu czar boski. Atmosfera prostodusznej naiwności odepchnęła od serca wszelaki brud. Duchem wieszczym odgadło, że winno żyć dla idei. Społeczeństwo wyczerpane i pół-gnijące z radością zdawało się przyjmować ten powiew wiosenny. Z początku możni tego padołu ugaszczali go i darzyli uwielbieniem. Lecz on rychło wyrzekł się pałacowych hołdów, w których upatrywał poniżenie swej godności. Nie chciał być igraszką kaprysów wielko-pańskich, i z przypowieścią o wielbłądzie i bogaczu na ustach, opuścił na zawsze wysokie progi, ażeby oddać się na usługi maluczkich i znękanych.

Odtąd nic już go nie obchodziły ambitne plany hebrejczyków. Między nim a rodakami rozwarła się przepaść. Zapałał nienawiścią dla podań ojczystych, które tłomaczono samolubnie, na zło obcym ludom i wierzeniom. Dla niego Bóg był także jedynym, ale wyższym i szlachetniejszym od groźnego Jehowy; rządził ludźmi, jak dziatwą swoją, a w nagrodę za katusze bytu doczesnego miał ich obdarzyć kiedyś wiekuistą szczęśliwością. Brzydził się świątynią, która służyła za schronienie wyrzutkom i w murach swych obojętnie znosiła wrzawę kramarzów, brzydził się kapłanami, którzy z przekupniami szli ręka w rękę i poniewierali tradycyę.

Naraz z nieba pogodnego spadł grom, który zelektryzował całą istotę młodzieńca; wlał weń nowe, nieprzebrane siły i los jego ostatecznie rozstrzygnął. Podówczas w puszczy sąsiedniej żył apostoł surowy, natchniony posłannictwem mesyanicznem i ciskał klątwy potępienia na zezwierzęconą ludzkość. Straszliwe jego wróżby doszły aż do uszów rozpustnego wielkorządcy; poganin shańbiony kazirodczą miłością i niewiarą małżeńską uląkł się i gotów już był z kochanicą swą rozłączyć się, ale ona przemogła w końcu i poprzysięgła zagładę srogiemu pustelnikowi. Zwabiono go podstępnie na dwór królewski i w kajdany okuto, a córa nałożnicy, posłuszna wezwaniu zbrodniczej matki, podczas uczty lubieżnym tańcem w szał wprawiła władcę i wymogła krwawy podarunek: głowę męczennika, co godził na swobodę ohydnego stosunku—na złotej misce.

Ksiądz uśmiechał się, jeżeli tak nazwać można pewne drganie kątów ust; inaczej śmiać się nie umiał. Podał ojcu libretto i lornetę, a sam siedział wyprostowany, wpatrując się wciąż w kurtynę.

Ta podniosła się wreszcie. Dawano *Roberta dyabła* — stary z jednego zachwytu wpadał w drugi. Tylko gdy duchy zakonnic umarłych nagle w powiewne przemieniły się tancerki, poruszał się niespokojnie na krześle i niby zgorszony patrzył na syna; skoro jednak zauważył, że młody ksiądz bez skrzywienia przyglądał się podskakującym, skąpo przyodzianym postaciom, uznał za stosowniejsze oburzenie zachować dla siebie. Bardzo wszelako zdawało mu się nieodpowiedniem, aby duchowny był na takiem widowisku. Gdy zaś po chwili Paweł wziął lornetkę do oczu, aby bliżej rozpoznać dziwne istoty, stary nie mógł już wstrzymać się od pociągnięcia go za rękaw. Syn zwrócił się twarzą ku ojcu.

— O co wam chodzi, ojcze?

— Widzisz, Pawełku, rzekł stary, o ile mógł najłagodniej — tegobyś nie powinien...

— Czego?

— Patrzeć na kobiety przez szkła.

Ksiądz zarumienił się zlekka i opuścił na kolana rękę, w której trzymał lornetkę.

— Nie gniewaj się na mnie, żem to powiedział — nieśmiało dodał stary.

Syn machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „Nie szkodzi; wszak sam widzę, że macie racyę.“ Ale był smutny i milczący przez całą resztę przedstawienia, stary zaś tak myślał sobie:

— Teraz wiem, dlaczego księża chowają swój kołnierz, gdy wchodzą do teatru. Właściwie nie powinien był psuć mu tej niewinnej rozrywki; już i bez tego tak straśnie ponury na swe młode lata. Lecz co się stało, nie odstanie.

Po teatrze Paweł po raz drugi poszedł z ojcem do restauracyi, a stary, na którego uczciwej twarzy perliły się grube krople potu, nie przestawał dziwić się bieganinie i eleganckim usługom wyfraczonych kelnerów.

— Ci dopiero umieją chodzić koło interesu — rzekł z ukontentowaniem, kiwając głową. Wesoło żyć w Wiedniu!

— Cieszcie się, że mieszkacie na wsi — odrzekł syn. Nie znacie ciemnych stron wielkiego miasta.

— Być może. Pewnie wiesz lepiej ode mnie. Ale dużo będę miał do opowiadania matce twojej o przyjemnym dniu spędzonym we Wiedniu razem z tobą.

Ksiądz w milczeniu uścisnął mu rękę i załatwił rachunek.

— A gdzież przenocuję? — spytał chłop, gdy wyszli z restauracyi.

— Naturalnie, że u mnie. Prosiłem proboszcza o pożyczenie pościeli. Będziecie spali w mojem łóżku, a ja na sofie.

Skoro wrócili do domu i ojciec zaczął się rozbierać, Paweł rozwiązał zawiniątka, które przywiózł stary. Młody ksiądz bacznie przyglądał się darom, jakie mu przysłały matka i siostry i ukradkiem całował ciasto dla niego umyślnie upieczone przez matkę. Ojciec, na wpół rozebrany, siedząc na łóżku, bez ustanku śledził spuszczone, blade oblicze, w którego rysach czytać już nie umiał...

— Powiedz mi, Pawełku...

— Co, ojcze?

— Tak mi się wydajesz dziwnym. Tęsknisz może? Żal ci, żeś opuścił nas?

— Kochany ojcze—odrzekł młody ksiądz—jeśli chcecie przez to powiedzieć, czy żałuję, że zostałem księdzem, tylko tyle odpowiedzieć wam mogę, że nawet gdybym żałował, byłbym to zachował dla samego siebie... Ale uspokójcie się. Jestem zupełnie zadowolony. Stan każdy ma swoje kłopoty, nie wolnym więc jest od nich i stan kapłański. Czy słusznie stan ten tylu ma nieprzyja-

Wściekły huragan gniewu i oburzenia zatrząsł całą Palestyną. Od arcykapłana do ubogiego rolnika wszystko zawrzało żądzą pomsty. Dotkliwiej niż kiedykolwiek zacięży pęta niewoli. Arystokratyczne duchowieństwo uczuło się zelżonem w osobie niecierpianego może ale i podziwianego przedstawiciela swego. Lecz ciemięzcy pozwolili wyszumieć się nawałnicy, trzymając w pogotowiu oręż — i wszystko z czasem ucichło. Jeden tylko z uciśnionych silniej przebolał cios i marzył o tem, ażeby zebrać tłumy, wyruszyć przeciw okrutnikom i okowy skruszyć. Szarpany walką wewnętrzną uciekł na kamienne obszary Judei, zajrzał w tajniki własnej duszy, wił się pod brzemieniem pokus sławy i wielkości. Jednak zwyciężyła pogarda dla spraw tego padołu; przemógł siebie i wojnę na śmierć i życie wypowiedział dawnemu porządkowi rzeczy.

Teraz był już olbrzymem. Rozpoczęła się agitacya; stanęły tysiące zwolenników pod sztandarem moralnej czystości i cnoty. Biedni i chorzy, niewiasty i dzieci cisnęły się do odważnego proroka, w naukach jego znajdując balsam i zobojętnienie na pociski losu. Odmawiano zaszczytu należenia do nowej sekty wszystkim, komu były miłe bogactwa i uciechy. Dawano miłość nieograniczoną, ale w zamian żądano zaparcia się wszystkich dóbr. Jakaś furya socyalistyczna, podobna do dzisiejszej, jeno bezprzykładnie w roszczeniach swych skromna, opanowała masy. Nieprzeparty urok mistrza mnożył szeregi wiernych. W dalekie kraje poszła wieść o cudach, których dokonywać miał. Nieodstępny orszak legend i nieprawdopodobnych opowieści rósł i towarzyszył mu bezustannie, choć on rad byłby strząsnąć z siebie niezasłużony rozgłos zmyślonych uzdrowień, przynoszący ujmę szczytnej propagandzie. Była to w szerokiem znaczeniu działalność anti-społeczna, bo podkopywała fundamenta wszelkich związków, odrywała uwagę od ideałów publicznych. Każąc poświęcenie wszelkich uczuć na ołtarzu dążności wyższej, rozprzęgała rodzinę, porywała dzieci rodzicom i naodwrót, rozdzielała małżonków i braci, a gdy ktoś prosił by mu zostawiono chociaż czas na pogrzebanie zmarłego — odpowiedziano mu: „Niechaj umarli chowają umarłych. Ty chodź za mną!“

Zaszedłszy tak daleko, mistrz nie mógł już się cofać. Należało kroczyć w tym kierunku dalej i na nowe wyruszyć podboje. Do Jeruzalem na święta szałasów miała zwyczajem dawnych lat zbiedz się ludność wszystkich zakątków kraju. Tam więc otwierało się szerokie dla tryumfów pole. Zrozumieli to ojcowie grodu i postanowili złowić w matnię niebezpiecznego przewódcę. Własnych jego krewnych, złudzonych widokami zatarcia rodzinnej plamy, wyprawiono z poselstwem. Zamiar nie udał się. Następne również spełzły na niczem, albowiem przywiązane bractwo, a nawet lud cały, położhtany w demokratyczne swe instynkta, gotowe były za cenę krwi nie dopuścić krzywdy swego nauczyciela.

Sofiści, zalęknięci zbierającą się burzą, przywołali na pomoc księgi; lecz te nie zapowiadały żadnego przewrotu, a więc tem samem nie uprawniały grożącego. Usiłowano wciągnąć wroga w dysputę, ażeby sprowadzić go potem na manowce polityczne i zmusić do wyrzeczenia czegoś przeciw państwu. On jednak Boga z Cezarem nie mięszał i każdemu hołdy oddawał należne. Ze zdumiewającą zręcznością odpierał próby ośmieszenia wiary w nieśmiertelność, dając odpowiedzi mgliste, ale pełne godności i idealizmu.

A przecież był to już początek końca! Obrażona duma Synagogi nie mogła dłużej patrzeć bezczynnie na kolosalny rozrost buntowniczej partyi. A gdy powietrzny gmach nowej nauki uwieńczony został podeptaniem całego ceremoniału dotychczasowego, gdy obwołano równość wszystkich religij i ludów wobec Boga, był to punkt kulminacyjny reformy duchowej ale i zapowiedź smutnego epilogu. Nawet czerń zgodzić się na to nie chciała, by ją stawiano na równi z bałwochwalcami. Jakto, Bóg Izraela nie jest *tylko* Bogiem Izraela! Czara cierpliwości przepełniła się i zapał dla rewolucyonisty gasnął przerażająco.

Za pięć miesięcy miała się odbyć uroczystość Paschy. Ślubowano sobie bądź co bądź przeszkodzić ponownemu wtargnięciu nieprzyjaciela. Do względów religijnej ciasnoty i rasowego szowinizmu dołączyła się przezorność, całkiem usprawiedliwiona. Wszelkie zaburzenia, a tych przecie zażegnać nie było można, pachniały zbrojną interwencyą rzymian, która skończyłaby się jeno zaciśnięciem pętlicy dokoła szyi ujarzmionego. Wyrok śmierci zawisł już nad wspaniałą głową odszczepieńca.

A on, nieszczęsny, co przez ten czas czynił? Gotował się do nowej wyprawy. Jakieś niewyraźne przeczucie szeptało mu, że u murów świątyni, do której miał zawitać raz jeszcze, czyha nań zguba. Ale teraz o odwrocie myśleć już niepodobna było; przerzedziły się szeregi wielbicieli, gnanych tchórzostwem z obozu; pozostała niewielka drużyna co najwybrańszych, dręczonych wprawdzie marą ciężkiej pokuty, ale już całem jestestwem zaprzedanych ubóstwianemu. On zaś, sięgając myślą sfer nadobłocznych, i sprzymierzeńców w ustawicznej trzymał ekstazie. Teorya jego rozwinęła się do krańców; ostatnie strzępy kultu doczesności legły w błocie.

Wreszcie nadszedł dzień fatalny. W pobliżu stolicy banda wędrownych krzykaczów wyprawiła mistrzowi owacyę, ogłaszając go królem. Wzmogła się groza położenia hebreów — zamigotał im straszliwy kask i miecz. Wytężyły się wszystkie dłonie, ażeby pochwycić śmiałka, co ściągał na nich nową klęskę. Jeszcze godzin kilka — a mężny szermierz był już jeńcem — opuszczony przez własnych druhów.

Dziełem jednej nocy był sąd arcykapłana. Dwóch świadków przyprowadzono, ażeby uczynili zawczasu opłacone zeznanie. W ten sposób przekonanego o bluźnierstwie próbowano nakłonić do odwołania swych teoryj — ale daremnie. Komedya powtórzyła się w Sanhedrynie i kara śmierci była postanowioną. Wielkorządca rzymski, widząc marzyciela, który dla cesarstwa szkodliwym być nie mógł, proponował zastąpienie go jakimś łotrem. Lecz naleganiom sprawiedliwości musiał dać posłuch, nie przeczuwając, że legenda poda go przyszłym pokoleniom za mordercę. Uznał zresztą, że kościół ze swojego stanowiska ma słuszność.

A przyjaciele skazanego, a lud, który niegdyś własnemi pięściami go zasłaniał? czy pierzchnął? Nie, poszedł radosny i hałaśliwy, jak dawniej, przyglądać się krwawemu widowisku bohatera, konającego między dwoma złodziejami.

Tego samego jeszcze wieczora żywioły zawtórowały orgii. Ziemia zatrzęsła się, zgrozą przejęła mieszkańców stołecznego grodu, pochłonęła zwłoki szlachetnego utopisty, ażeby nazajutrz widokiem próżnej mogiły nastraszyć wszystkie serca i obwieścić światu cuda zmartwychwstania, a z nim i nową epokę.

Rozkładający się za życia organizm despotyi klasycznej łaknął nowości i skwapliwie przypadł do orzeźwiającego źródła. Otworzyły się miliony ust spragnionych ochłody; ilu było biednych i uciśnionych, katowanych w twardej pracy dla magnatów, ilu niewolników, jęczących pod biczem patrycyusza, ilu gladyatorów, przeznaczonych na karm dla dzikich bestyj — tylu chętnych znalazła ewangelia, co przychodziła od wschodu. Im potrzeba było pociechy, wiary i nadziei — wszystko to przypływało ogromnemi falami i niebiańską muzyką zdaleka pieściło ucho. Konwulsyjnie wyprężały się rządy ówczesne, ażeby robaka zdławić; lecz nie pomogły karby srogości, bo robak śmierci się nie bał. Mistycyzmem obmotał się szczelnie, czyniąc zeń nieprzebity pancerz, z wiekiem coraz grubszy. Dopiero w szesnastem stuleciu spostrzeżono, że żyje za długo i za pasorzytniczo, wyzyskując bezwstydnie naiwność maluczkich.

Dziś duch cywilizacyi zwrócił się ku celom praktycznym. Minęła noc ponura, i nowy, jasny dzień świta. Nędzarz przestaje liczyć na miłosierdzie niebios i coraz więcej własnej pracy ufa. Obojętnie słucha nawoływań do pokuty i szorstko odpycha mamidła wiecznego zbawienia, zadawalniając się niewyszukanym ale za to pewniejszym udziałem szczęścia ziemskiego, które stało się wielkiem, wspólnem godłem wszystkich.

Oto główne momenty obrazu, naszkicowanego przez Anatola Rembe*). Zbyteczna dodawać, że doradcą był mu realizm, natchnieniem — dzieje, a materyałem — zabytki, niepofałszowane przez tendencyę.

Robon Dion.

---

*) *Christus*, 1887.

---

ciół i na tak liczne narażony jest podejrzenia — nie badajmy w tej chwili. Tylko tyle jest pewnem, że tak się dzieje i że w skutek tego temu, kto przywdział suknię duchowną dwie do wyboru zostają drogi: albo niedozwolonym sposobem życia wynagrodzić sobie wszystkie gadaniny ludzkie, albo też nie dać się oszołomić i bez uznania i wdzięczności niczyjej iść ścieżką raz wytkniętą. Ja wybrałem to ostatnie. Że stałem się poważnym z tego powodu, niechaj was nie zadziwia. Pochodzi to z monotonnego, zamkniętego życia mojego. Cokolwiekbądź, powtarzam wam, że jestem zadowolony...

Roztworzył brewiarz swój i przewracał w nim kartki.

— Módlmy się, ojcze.

— Tak, Pawle, za ciebie!

— Za nas wszystkich!

Usiadł przy stole i zaczął czytać w brewiarzu. Ojciec złożył ręce i modlił się na wpół głośno. Zmówił już wiele pobożnych „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś Maryo,“ a syn ciągle czytał jeszcze. Gdy patrzył na tę młodą, surową nieco twarz, w której nie było ani śladu tkliwości, żalu lub melancholii, która wydawała się księgą zwartą na siedm pieczęci i w której, lubo nie wiele szczęścia, wyrytem jednak było ogromne panowanie nad sobą; gdy wodził wzrokiem po tej wyprostowanej, czarno ubranej postaci, po tonzurze kapłańskiej i oczach spuszczonych — czuł, że syn coraz dalej usuwa się od niego; pomyślał o chłopcach w domu, których mógł zwymyślać z wielkim spokojem, a nawet nazwać osłami, bez wywołania zdziwienia niczyjego — i przekładał sobie po cichu, jak to z „jegomością“ trzeba mówić inaczej.

Nazajutrz przy pożegnaniu chłop trzymał się dzielnie. Nie chciał „chłopcu“ okazywać słabości. Ale mniej wesołym wracał do domu, aniżeli wyjechał.

— Wiesz — powiedział po powrocie do żony, której chciał opowiadać o Wiedniu, a która wolała słuchać o synu i niecierpliwiła się podczas opisów jego — wiesz, kobieto, Pawłowi dobrze się wiedzie. Ale jedno ci powiem: cieszy mnie, że tylko jeden z chłopców naszych poszedł na księdza... Bo choć dumni być możemy z naszego Pawła — zawsze przecież lepiej tym, którzy pozostali tem, czem są ojciec ich i matka...

Tłom. *Ad. J. C.*

HISTORYA.

Dr Władysław Wisłocki. *O wydawnictwie Liber diligentiarum krakowskiego fakultetu filozoficznego* z lat 1487—1563. Kraków, 1886, 4-o, str. 20.

Magistrowie wydziału filozoficznego wszechnicy jagiellońskiej uchwalili w r. 1487, aby na przyszłość dziekani prowadzili wykazy wykładów i przy nazwiskach nauczycieli notowali w każdem półroczu ich pilność. Powstały w ten sposób *Libri diligentiarum* (1487—1780), nieoceniony do historyi oświaty polskiej materyał. Dr Wisłocki wydał część, obejmującą lata 1487—1563; ogłosił też oparte na niej uwagi własne, które dotychczasowe zapatrywania na stan nauk i przyczyny ich upadku na wydziale filozoficznym uniwersytetu krakowskiego w stuleciu XVI zmieniają do gruntu.

Fakultet filozoficzny z trzema innymi wydziałami: teologicznym, matematycznym i prawnym nie stał na równi. Wprawdzie, samodzielny dla siebie, nie ulegał w niczem ich jurysdykcyi; stał jednak niżej o tyle, że był jedynie przedsionkiem, który młodzież, pragnąca słuchać wykładów na innych wydziałach, przebyć musiała. Ten dopiero, kto najmniej po czteroletnim, a wyjątkowo po trzyletnim na wydziale filozoficznym pobycie osiągnął najprzód stopień bakałarza nauk wyzwolonych, a następnie magistra filozofii, co dzisiejszemu w gimnazyach egzaminowi dojrzałości wyrówna, mógł jako zwyczajny słuchacz zapisać się na wykłady teologiczne, medyczne lub prawne. Był przeto fakultet filozoficzny właściwie szkołą średnią; pod względem ilości i jakości wykładu odpowiadał licznym naówczas za granicą gimnazyom. Magistrowie wykładali wszystkie partye filozofii Arystotelesa według średniowiecznych przekładów łacińskich, czyli też tak zwanych *septem artes liberales*, czyli siedmiu nauk wyzwolonych, mianowicie: gramatyki, retoryki, dyalektyki, arytmetyki, muzyki, geometryi, astrologii. Czytali Cycerona, Horacego, Owidego, Virgilego, Waleriusza Maxima; niekiedy niektórych autorów greckich, np. Homera.

Chociaż pod względem ilości i jakości wykładanych przedmiotów pomiędzy fakultetem filozoficznym uniwersytetu krakowskiego a gimnazyami zagranicznemi różnicy nie było — faktem jest przecież, że nauki w XVI wieku u nas upadły. Przyczyną tego nie była, jak mniemano dotychczas, reformacya, która miała wrzekomo siły najdzielniejszych magistrów zużywać na spory z innowiercami; nie, jak twierdził Szujski, humaniści; lecz nieodpowiadająca potrzebom czasu metoda nauczania i wadliwa fakultetu filozoficznego organizacya.

Magistrowie nasi byli zwolennikami Duns Scota; uporczywie trzymali się w nauczaniu metody scholastycznej. Kiedy humaniści od lat stu w gimnazyach i fakultetach zagranicznych metodę wykładów szkolnych zmienili zdzennie; kiedy nauka na zachodzie innymi już kroczyła torami, w uniwersytecie krakowskim wszechwładnie panował skotyzm. Był to anachronizm, który stanowcze obniżenie poziomu nauk, a wreszcie zupełny ich upadek musiał sprowadzić. Wadliwa organizacya fakultetu również na stan nauk wpływać dodatnio nie mogła.

Wykładać na wydziale filozoficznym i brać udział w sobotnich dysputach publicznych mógł każdy magister *artium liberalium*. Zaledwie który z bakałarzów otrzymał ów stopień, zaraz sam na katedrze zasiadał i uczył drugich. Uczący magistrowie byli ludźmi bardzo młodymi, dalekimi od znajomości nowego systemu szkolnictwa i zdobyczy naukowych zachodu. Osiemnasto lub dziewiętnastoletni młodzieniaszkowie dla niedostateczności wynagrodzenia stanowisko swoje na fakultecie filozoficznym uważali za czasowe tylko; przy lada sposobności uciekali na guwernerkę lub w koloniach akademickich obejmowali posady rektorów. Wytrwali uczęszczali jednocześnie na wydział teologiczny, medyczny lub prawny, a pozyskawszy doktorat, opuszczali fakultet filozoficzny, szukając losu gdzieindziej. Charakterystycznem jest, że wypadków śmierci w ogłoszonej przez siebie księdze bardzo mało znalazł wydawca: w okresie czasu od r. 1487 do 1563 zaledwie kilkunastu magistrów *paeste, poplexia* albo *ex pleuresi fortissima* umarło. Tłomaczy się to gwałtowną młodzieńców emigracyą, poszukiwaniem zarobku na polu innem. Nader ciekawą jest podana przez p. Wisłockiego charakterystyka owych magistrów.

Z 550 wykładających w latach 1487—1563 z poza granic Rzeczypospolitej było 70 (węgrzyni, szlązacy, trochę morawian, dwóch włochów, chorwat i anglik); resztę stanowili polacy. „Za wybitniejszemi nazwiskami osiadłej i możniejszej szlachty, która w państwie stanowczo już wszystko w swoich dzierżyła rękach, napróżno w tej rojnej oglądamy się gromadzie. Pod koniec XV i w pierwszych latach XVI w. uczą jeszcze, choć tylko krótko i sporadycznie, z katedr fakultetu medycznego magistrowie: Arciszewski z Erdzieszowa, Michałowski *de Michałowice*, Regulis *de Reguły haeres de Komorniki*, Russocki *de Russocice*, Andrzej kniaź na Świrze Świrski (*de genere ducum Lithuanus*), Piotr na Tomicach Tomicki, późniejszy biskup krakowski; ale już w dalszym ciągu w. XVI do r. 1564 włącznie liczba nazwisk szlacheckich nietylko że spadła do bardzo skromnego minimum, nawet o wiele niżej $^{1}/_{8}$ całości, ale w dodatku różne jeszcze nasuwa wątpliwości. Tacy np. Gostyński, Lipnicki, Myszkowski, Widowski, wszyscy *de Cracovia*; lub tacy np. Boroniecki *de Nowopole*, Dąbrowski *a Siradia*, Dobrosielski *de Sandomiria* itp., to już widocznie synowie szlachty podupadłej, nienależącej do *posessionati*, lecz szlachty dla ubóstwa mieszkającej w miastach i miasteczkach, gdzie też parając się łokciem i miarką, lub czemkolwiek innem, mieszczańskim już oddawała się zajęciom. Nie *propter Jesum* też zasiadali tacy magistrowie na katedrach wydziału filozoficznego, lecz *propter Jesum* chwytali czasowo za jego kolegiatury.

A inni uczący magistrowie? Przeszło $^{6}/_{8}$ to sami mieszczanie lub dziatwa z pod wiejskiej strzechy kmiecej; to jeden w drugiego, jak ich wówczas nazywano, *plebei*. To przedewszystkiem blizko 80, a więc przeszło $^{1}/_{8}$ całości piszących się *de Cracovia*. Inni zaś? To sami Brzezińczyki, Gostyńczyki, Ilkuszczyki, Iłżanie, Kazimierczyki, Kleparzanie itp. itp. To jeden w drugiego: Bondzewczyk, Drohobyczanin, Jarosławczyk... a nawet ze stron dalszych, jak Neuenburgensis z Nowego w Prusiech Królewskich, polskiego rodu kaszuba Zuchta z Gdańska lub Seeburgensis z Seeburga z Warmii... To dalej jeden w drugiego Albinus, Dilectus, Episcopius, Eutropius... To magister z magistra: Bargiel, Bełza, Biały, Bieda, Bylica, Żyła... To wreszcie z obrębu ówczesnej Polski o niemieckich nazwiskach: Beck, Bedermann, Crenzel... To zresztą prawie sami: Aurifabri, Cieśle, Garbarze, Krawce..... A wszystko przytem, z bardzo małym może wyjątkiem, ludzie bez zasobów i mniej zamożni, którzy także widocznie nie z samej miłości dla nauki do katedr na fakultecie artystycznym się cisnęli. Słowem, krakowski wydział filozoficzny, a z nim razem i uniwersytet jagielloński w XVI w., to już nie owa wielka instytucya państwowa o szerokich i dalekich celach cywilizacyjnych, jakie jej w XIV i na początku XV w. wspaniałomyślni jej założyciele i odnowiciele zakreślili; to już raczej w stolicy szlacheckiej Rzeczypospolitej jakiś szczególniejszego rodzaju mieszczańsko - włościański zakład szkolny, opuszczony ze wszystkiem prawie nietylko przez rządzącą państwem możną oligarchię szlachecką, ale opuszczony także przez tron królewski, z którego wysokości i wspaniale a bogato zastawionych stołów w tym właśnie czasie dla niego resztki tylko i mizerne spadały niedojadki.

I wobec tego stanu rzeczy jakżeż nie miały nauki w uniwersytecie jagiellońskim przechylić się ku upadkowi, a w kolegiach jego fakultetu artystycznego, skazanych z góry na prowadzenie z dnia na dzień tylko mizernego żywota, obumrzeć prawdziwe życie naukowe, ażeby nastrojowi wewnętrznemu i zgniliźnie umysłowej smutne do popisu pozostawić pole? I czyż wobec tego opuszczeni ci i przez wszystkich i własnemu tylko losowi i przemysłowi pozostawieni młodzi i ubodzy magistrowie, pracujący o chłodzie i głodzie na chleb codzienny, mogli na tyle wyrobić w sobie zdolności i siły, ażeby albo od humanizmu i reformacyi przyjąć, co to dobrego ze sobą dla reformy szkolnej niosły, albo wytworzyć o własnych zasadach jakiś nowy, potrzebom czasu bardziej odpowiedni plan i sposób uczenia. Wszystko musiało pozostać przy starodawnym planie i przy starodawnej metodzie uczenia: *ad mentem subtilissimi dris Joannis Duns Scoti.*"

Na pochwałę owych mieszczańskiego i kmiecego pochodzenia magistrów ciekawy dr Wisłocki przytacza szczegół — migracyi po naukę pod niebo włoskie. W półroczu np. zimowem 1553 podaje *Liber diligentiarum* aż ośmiu, którzy *sine venia in Italiam abierunt* — bez pozwolenia do Włoch podążyli. Były to jednak usiłowania odosobnione, przez nikogo niepoparte i dlatego rezultatów obfitych przynieść nie mogły.

W końcu zajmującej rozprawy w innem dr Wisłocki przedstawia świetle znany z podręczników szkolnych fakt emigracyi studentów w r. 1549 z okazyi dokonanego przez służbę księdza Czarnkowskiego rozbójstwa na Jerzym z Pienian. *Liber diligentiarum* stwierdza samo zdarzenie, zaprzecza jednak, żeby studenci opuścili Krakow na zawsze, żeby przez to szkoły miejscowe opróżnione zostały zupełnie. Magistrowie w półroczu owem wykładali bez przerwy, studenci zaś „pobujawszy swobodnie przez kilka dni lub dłużej między zielonemi firankami po okolicach, polach, łąkach, lasach i górach... innemi bramami do miasta i codziennych zajęć swoich" wrócili. „Bo i dokądże i z czem, słusznie pyta autor, miała się udać nieletnia ta i z jałmużny tylko żyjąca młodzież, złożona przeważnie z synów podupadłej szlachty drobnej, z dzieci mieszczańskich i włościańskich, z samych prawie, jak ich wówczas nazywano, plebejuszów?"

Rozprawa d-ra Wisłockiego szczupła rozmiarami, ale niezwykle bogata pod względem treści, na dzieje szkolnictwa naszego w stuleciu XVI światło rzuca rzęsiste. Nie wątpimy, że znany z pilności i nauki autor wielu jeszcze na tem polu ważnych dokona odkryć.

Sm.

ISKIERKI NAUKOWE.

II.

Wzrost dzieci. Malling Hansen, dyrektor zakładu głuchoniemych w Kopenhadze, badał zwiększanie się wzrostu i wagi dzieci. Przez lat trzy ważył stu trzydziestu wychowańców po trzy razy dziennie i raz na dzień ich mierzył. Podług jego spostrzeżeń wzrost i waga nie powiększają się ciągle, ale na przemian, okresami. Kiedy wzrost się powiększa, waga zostaje niezmienna i naodwrót. Siły życiowe nie pracują w obu kierunkach jednocześnie. Przez jesień i w początkach zimy dziecko nabiera wagi. W początkach lata zaczyna rosnąć, jak roślina. Hansen badał drzewa, rosnące w ogrodzie zakładu i w rzeczy samej przekonał się, że one także naprzemian wzdłuż i wszerz rosną. Tylko

co do czasu zachodzą różnice. W kwietniu i maju drzewo wydłuża gałęzie, zachowując grubość niezmienną; w czerwcu i lipcu pień spożytkowywa na swoją korzyść soki, dostarczone przez korzenie i grubieje. Później nadchodzi okres bezczynności i uśpienia.

Należy oczekiwać sprawdzenia tych zajmujących spostrzeżeń przez innych badaczów.

Metylol jako środek usypiający. Metylol jest ciałem płynnem, ruchliwem, lotniejszem od eteru, do którego zbliża się zapachem. Otrzymuje się przez działanie potasu na formetylol. Mairet i Combemal wprowadzali go do ustrojów zwierzęcych przez przełyk, przez wdychanie i wstrzykiwanie podskórne. W większych ilościach użyty zabija; w mniejszych—sprowadza senność. Znaczniejsze zakłócenia wywołuje przy dawkach przewyższających pół grama na kilogram wagi zwierzęcia; gdy zaś dochodzi do dwóch gramów, może spowodować rzeczywiste otrucie.

Przelew krwi w głowy ścięte. G. Hayem i G. Barrier przelewali w głowy odcięte psom krew z psów i koni, przy czem otrzymali wyniki następujące: 1-o, uczucie i wola zdają się gasnąć bardzo szybko, jeżeli nie bezpośrednio po ścięciu; 2-o, przelanie krwi do głowy już od kilku minut bezwładnej, budzi w niej ruchy automatyczne i odruchy rozległe a wielce złożone.

Wartość pożywna ekstraktów mięsnych. Oryginalnego użył sposobu jeden z amerykańskich lekarzy, aby sprawdzić wartość pożywną rozmaitych wyciągów z mięsa. Serce żaby, opróżnione z krwi, wypłókane w sześcioprocentowym roztworze soli, bije czas jakiś jeszcze, a nawet, kiedy już ustanie, napowrot działać zaczyna, skoro je napełnimy krwią albo surowicą, podczas gdy wprowadzenie rozmaitych kwasów, alkaliów itp. nie sprowadza tego skutku. Von Ott dowiódł, że mleko działa jak krew; Ringer stwierdził, że białko i żelatyna są również pożywne dla serca.

Streszczając powyższe prace Mays stawia wniosek następujący: serce po wyczerpaniu z sił może napowrót zacząć funkcyonować nie inaczej wszakże, jak tylko przyjąwszy posiłek, którego mogą dostarczyć jedynie: krew, surowica, białko i żelatyna; żadna inna substancya nie budzi energii sercowej; stopień zaś wzbudzenia tej energii jest w pewnym stopniu proporcyonalny do skoncentrowania odżywczych własności danej materyi. Z tego punktu wychodząc, Mays płócze świeże serce żaby, czeka, aż ono bić przestanie i napełnia je wyciągami mięsnymi, rozcieńczonymi w różnych stosunkach. Mocne roztwory nie działają. Potrzeba używać roztworów w stosunku 1 na 666, aż do 1 na 2000. Za typ wziął p. M. działanie krwi wołowej wysuszonej, a następnie rozcieńczonej. Gdy później wprowadził zamiast krwi ekstrakt mięsny i porównał częstość pulsacyi, znalazł, że krew i wyciągi mięsne są w stosunku mniej więcej jak 100 do 60. Mleko tylko da się najzupełniej porównać z krwią wysuszoną pod względem siły odżywczej. Mays zamierza teraz poddać badaniom rozliczne ciała składowe, wchodzące do ekstraktów mięsnych. Na uwagę zasługuje fakt, że niektóre pokarmy przez organizm przyswojone być mogą, nie przeszedłszy przez żołądek. Powinnoby to zachęcić do prób z żywieniem przez zastrzykiwania podskórne. Doświadczenia Maysa nie rozstrzygają wszakże o bezwzględnej wartości pożywnej, gdyż niektóre materye mogą stać się wybornymi i bardzo odżywnymi pokarmami, uległszy poprzednio strawieniu w żołądku.

Powonienie u kobiet. Rozprawy fizyologiczne pomijają wogóle różnice, zachodzące między rozwojem dzielności zmysłów u obu płci. Tymczasem już powierzchowne spostrzeżenia przekonywają, że np. kobiety mają *dotyk* wraźliwszy, niż mężczyźni, co je bardziej uzdalnia do drobnych robótek np. igiełkowych itp. Co do *wzroku* i *słuchu* nie przeprowadzono porównania stanowczego. *Smak* natomiast zdaje się być wyżej rozwinięty u mężczyzn, aniżeli u kobiet. Rzadkością chyba jest przedstawicielka płci słabej, znająca się na winach. A jeśli między kobietami łakotnisie dość często się zdarzają, to słabostka ich ma charakter odmienny, niż u mężczyzn smakoszów. Nareszcie nad *powonieniem* pp. Nichols i Bailey w Stanach Zjednoczonych poczynili doświadczenia zajmujące, które zdają się być stanowczemi. Sprawę o nich zdali Towarzystwu amerykańskiemu popierania umiejętności. Wybrali oni pewną liczbę substancyj z mocnym zapachem, jak esencya lewkoniowa, wyciąg z czosnku, kwas pruski itd. i przygotowali szereg flaszek, zawierających np. jedna centygram wyciągu z czosnku roztworzony w kwarcie wody; druga pół centygrama, trzecia ćwierć centygrama itd. aż do zupełnego zniknięcia zapachu. Ponumerowawszy flaszki zpod spodu i ustawiwszy w porządku jakimkolwiek, zapraszali rozmaite osoby do ustawienia tych flaszek w porządku naturalnym, kierując się tylko powonieniem. Za pomocą próby tak prostej przekonali się najpierwej o nadzwyczajnych różnicach indywidualnych dotyczących tego zmysłu. Trzech mężczyzn rozpoznało kwas pruski rozcieńczony w dwóch milionach (co do wagi) cząstek wody. Ilości tak drobnej nie wykryje najściślejszy rozbiór chemiczny. Inni przeciwnie już przy rozcieńczeniu trzeciem lub czwartem rozpoznać kwasu pruskiego nie mogli. Najciekawszą jest wszakże różnica między obu płciami. Doświadczeniom poddało się 44 mężczyzn i 38 kobiet rozmaitych stanów. Próby przekonały, że powonienie mężczyzn jest 2 razy czulsze, niż kobiet. Żadna nie poczuła np. kwasu pruskiego rozcieńczonego w 20 tysiącach cząstek (co do wagi) wody, podczas gdy większość mężczyzn rozpoznawała go jeszcze w 100,000 cząstek wody. Esencyę cytrynową mężczyźni odróżniali rozwodnioną w 200,000 cząstek, podczas gdy na kobiety działało rozcieńczenie jeduym stopniem wyższe, t. j. dwa razy mocniejsze. Też same wyniki co do czosnku i innych zapachów. Zachodzi tu więc prawo ogólne, przeciwne rozpowszechnionemu mniemaniu, że kobiety mają powonienie wrażliwsze, ponieważ lubią wonności. Zamiłowanie to pochodzi prawdopodobnie stąd właśnie, że silny zapach mniej im się daje we znaki, niż mężczyznom. Panie, które nadużywają pachnideł, winny pamiętać, że mogą wcale nieoczekiwane skutki wywoływać, gdyż dla swych wielbicieli są wyperfumowane dwa razy mocniej, niż dla siebie samych.

LITERATURA I SZTUKA.

TEATR.

H. Bocage i Al. Hennequin: *Zmykajmy*, krotochwila w 3-ch aktach, tłomaczona z francuskiego.

Tłum patrzeć pragnie i nasycać oczy,
Gdy wiele mu przed wzrokiem się roztoczy,
Gdy gapi się i nlemy podziw czuje,
To jużeś sądy zyskał najłaskawsze,
Już ulubieńcem staniesz się na zawsze.

Dużo wody upłynęło w Wiśle od czasu, gdy tak przemawiał w *Fauście* dyrektor teatru do poety—a słowa jego nietylko że nie stały się anachronizmem, ale owszem, coraz częściej się sprawdzają. Spółka paryzka, której scena nasza zawdzięcza nowe błazeństewko, jak i wiele innych podobnych firm należy do najszczęśliwszych pod słońcem. Dosyć jest by ruszyła konceptem, jak nie przymierzając martwe cielę ogonem — a już z lóż i krzeseł płynie kaskada śmiechu szczerego, już połyskuje bielonemi ramionami galerya władczyń tego świata, lornetowana usilnie przez „najdorodniejszą“ młodzież i cały areopag dziennikarski, już grzmią oklaski, o jakich nie marzył zapewne Arystofanes ani Molière.

Co tam na owych cierpliwych deskach mówi się i myśli — o to mniejsza; byleby tupaniny było pod dostatkiem; jakiemi środkami osiąga się komizm — to fraszka. Nie razi więc nikogo, że autorowie zarzucili już nawet pozory jakiejkolwiek tendencyi i bez ceremonii stworzyli popis pajacowski, każąc bohaterom swym chować się w pakach w towarzystwie damy i w ten sposób odbywać podróż, kłaść na szyję poduszki antihemoroidalne, chować w kieszeń zegary stołowe itd. Wziąwszy rozbrat z logiką i zdrowym rozsądkiem mogli szafować szczodrze tego rodzaju efektami. Upstrzyli nimi bezmyślną bajkę o zarządzie Towarzystwa akcyjnego lecznicy w Pantin, umykającym z powodu mniemanego sprzeniewierzenia się kasyera. Ażeby zbiegów utrzymać w ciągłej trwodze i wpędzać w niemożliwe kłopoty, kazano gonić ich żandarmowi, który pragnie oświadczyć się dyrektorowi o rękę jego służącej i poszukując go, spotyka się raz wraz z wystraszonymi kierownikami przedsiębiorstwa. Oto główne a wdzięczne źródło zabawnych nieporozumień. Zachowanie się owych panów, maskarady przy pomocy cudzej odzieży sprawiły w końcu prawdziwy popłoch na stacyach kolei żelaznej. Policya zaczęła urządzać obławy na urojonych złodziejów i biedni dezerterzy mieli już wpaść w jej ręce, gdy nagle ukazanie się dyrektora rozwiało ich obawy i wyjaśniło pomyłkę. Ile nieprawdopodobnych zdarzeń i sytuacyj — o tem nie wspominam. Jedno przecież jako *curiosum* nadaje się całkiem do psychiatryi komedyopisarstwa: ktoś z uciekających, schowany w pokoju telegrafisty, zmuszony jest udawać go i pełnić jego czynność na żądanie zawiadowcy, który przy tem mistyfikacyi nie podejrzywa. Pomimo iż przymusowy zastępca aparatem nie władał, jednak bezmyślne jego sztukanie złożyło się, o dziwo! w rzetelną, chociaż inną depeszę i zrozumianem zostało przez stacyę zapytaną! O sławetny Joe Bibic, znalazłeś rywali w sztuce teatralnej!

W całem szanownem gronie nie masz ani jednej postaci, która byłaby typem, albo chociaż czemkolwiek przypominała ludzi.

Polski układ krotochwili przesadził oryginał w niedorzeczności. Są tam takie np. miejsca:

— Na całym bulwarze nie masz ani jednego francuza — woła żandarm Clodimar.

Wtem ukazuje się akcyonaryusz Billembois, z czystym akcentem p. Ładnowskiego, a zrozpaczony przedstawiciel straży bezpieczeństwa cieszy się, że znalazł chociaż jednego, mówiącego po francuzku!

Albo:

W kiosku oblepionym ogłoszeniami sklepów nadsekwańskich sprzedają gazetę *Kraj*, *Wieczór* i tym podobne.

Jednocześnie wystawa wzorowaną jest na modelach meiningeńskich, stwierdzając niejako prawidło, że kosztowność akcesoryów zostaje *u nas* w odwrotnym stosunku do powag i utworu.

W *Aryi i Messalinie* rolę cyprysu gra wiecheć, będący prawdopodobnie jakąś zużytą choinką wigilijną, a tyrs obwity jest papierowym bluszczem — tutaj widzimy prawdziwy przyrząd telegraficzny, latarnie kolejowe, sygnały itd.

Artyści, pomiędzy którymi przeważa śmietanka, pp. Rapacki, Ładnowski, Ostrowski, Szymanowski i inni, ratować musieli swą smutną dolę charakterystyką.

Niżej podpisany jeśli nie bawił się, nie rozpaczał też: sala widzów tyle materyału dostarcza dla studyów! Lecz za nim siedział jeden ze starszych krytyków, któremu wypadło od roboty pp. Bocage i Henniquina rozpocząć urząd recenzenta w piśmie codziennem. Żal mi go było szczerze; miał minę, jak gdyby się nazywał Piekarski! Ogół jednak czekał cierpliwie do samego końca, jak gdyby każdy wyraz tej arlekinady miał dlań wagę złota, albo też, jak gdyby się spodziewał, że lada chwila ujrzy kontredans, tańczony przez konie, a koryfeuszów

sceny polskiej w roli nóg słonia. Maluczko, a da Bóg i reżyserya, że szczytna aspiracya ziści się.

J—a.

FEJLETON.

Z ZACHODU.

XII.

Uroczystość w Arles. — Amadeusz Pichot. — Areny. — Farandole. — Ferrada.

Z Aigues-Mortes, z tego samego portu, skąd w r. 1270 wyruszył do Tunisu Ludwik święty, aby więcej nie wrócić, zabrał mię patron małego szkuta, rozwożący sól po wybrzeżu i aż do Avignonu kanałami i Rodanem. Fale najczystszej lazurowej barwy biły o boki statku jak pletwy delfina; na północy w dali sine od powietrza góry, na południe i nad nami sine od gorąca niebo; mijamy kaplicę Trzech Maryj, Mekkę prowansalskich pielgrzymek, wpływamy, omijając niespławną deltę Rodanu, w kanał: na zachodzie step, na wschodzie nieprzejrzana kamienna Sahara. Jeszcze godzin kilka i oto arlezyjski cmentarz: Alyscamps.

Presso ad Arli ov'l Rodano stagna
Piena di sepolture è la campagna.
(Ariosto, Orl. fur.).

Kamienne posągi i sarkofagi z rzymskimi ostatnich rzymian napisami, w szczuplej dziś liczbie, bo się resztą pysznią europejskie muzea. Miasto niewielkie a dumne swym tytułem gallickiego Rzymu, Gallula Roma, toż odrębne w swej architekturze, w mowie i stroju mieszkańców od najstarszych miast Południa; dumne swemi arenami, ustępującemi jedynie rzymskiemu Kolizeum ogromem, o którym da się pojęcie, jeśli się rzecze, że we wnętrzu tego kolosu powstało za napadów saraceńskich drugie miasto, z przeszło dwustu domami i kaplicą i trwało od VIII w. aż do r. 1825, w którym go z nich oczyszczono; dumne pięknością swych kobiet, przechowujących w twarzy najwierniejsze typy, to rzymski, to maurytański, z fałdzistą, jedwabną suknią, z muślinowym biustem, dającym przeglądać różowemu ciału, z charakterystycznym czepeczkiem w kształcie wieży, z staroświeckimi klejnotami w uszach i na szyi, z nogą i ręką drobną niby u hiszpanek. Miasto o ulicach wązkich, mających za bruk ostre i bolesne dla obcego kamienie z nadrodańskiej Crau, roiło się dziś ogromnym tłumem. Skorzystano z odsłonięcia posągu Amadeusza Pichota, pisarza urodzonego w Arles w r. 1796, autora *Arlezyanek* i *Ostatniego króla z Arles*, zasługi dość dla południowców znacznej, aby go uczczono entuzyastycznym obchodem.

W niedzielę rano mowy przy odsłonięciu na placu Fontanny; orfeony, fanfary, towarzystwa śpiewackie, które posiada najmniejsze miasteczko, huczą wszystkie na przemiany, kończąc kantatą Mistrala: *La Raço latino*. Sztandary się chylą i rozchodzą, urzędowa część zabawy skończona.

Po południu wlewa się do areny widzów dwadzieścia tysięcy, wszystkie kamienne stopnie od dołu do szczytu zajęte falującą masą: a te rzymskie profile, ten łaciński akcent, ta jakaś „dostojność“ w ruchach i pozach budzą w wyobraźni niewidziany nigdy, a przeczuwany od tej chwili obraz italskiego cyrku cezarów. Flauberta pióro mi dajcie, albo Daudeta, a odtworzę Arlesza Kaliguli, czy Hadryana. Dziś zamiast *Cristianos ad leones* — walki byków, zamiast *Morituri te salutant* — farandole. Walki byków nie te krwawe, bez jakich madrycka dama w niedzielę zasnąć nie może; ale wesołe, żartobliwe gonitwy za kokardą, uczepioną na czole rozpustnego, zwinnego jak jelonek ciołka. Byk z hiszpańskich menad jest ciężki, o szerokim karku i zwisłym gardzielu; straszny dla przeciwnika, zwłaszcza jeżeli już kilku torerom wnętrzności wykrwawił; prowansalski byczek lub zajadlejsza odeń jałowica nadają się lepiej do tych skocznych gonów na ochotnika, którymi popisują się wobec dziewek młodzi zalotnicy. A choć niekiedy ten i ów da się pochwycić na rogi i lżejsze lub cięższe rany nie są nowością, wypadki śmierci są rzadkie, bo zwycięzca zadawalnia się kilkoma uderzeniami „sabotów.“ Są między temi zwierzętami niektóre obdarzone ludzką złośliwością. Widziałem raz powalonego w ten sposób chłopaka, któremu byk, nie robiąc krzywdy, kazał leżeć plackiem w arenie ku szalonej wesołości widzów: przez długą chwilę, oddaliwszy się o kilkanaście kroków, spoglądał na swą ofiarę flegmatycznie jak baranek, lecz za każdą próbą powstania w jednym skoku stał nad nieszczęśliwym, grożąc rogiem, aż go wreszcie reszta towarzyszy, powaliwszy byka, wybawiła. Powalenie rosłego zwierzęcia należy do sztuk nader śmiałych i jest świetnem ukoronowaniem każdoniedzielnych zabaw. W gorącem powietrzu drży kamienny pył pozłocisty tam, gdzie słońce smugą światła pada w cień pod arkady, drży jakiś elektryczny prąd, wzruszający jednem tętnem wszystkie nerwy, otwierający wszystkie usta wykrzykami podziwu lub obawy za każdym śmielszym ruchem aktorów. Cała ta masa żyje już tylko jednem życiem, oddycha jednym oddechem i zapał jednego udziela się wszystkim. Na arenie pojawiają się bębenki i flety, najprzewotniejsze, jakie wymarzyć można instrumenty, a tworzy się z nich muzyka oryginalna, dzika nieco, lecz mająca jakiś pasterski wdzięk. Co za dobosze, co za fletniści! Pałeczki sieką gęsto tak, że ucho zaledwie uderzenia rozróżnić potrafi, dźwięki fletów padają jak krople wody na metalową płytę; jest między muzykami jeden, zda się Valmajour z *Numy Roumestana*; wrażenie owego cudnego opisu w powieści jest tak łudzące, że czeka się, rychło wejdzie na estradę, gdzie zasiada mer i dostojnicy miasta, i wytłomaczy tak naiwnie pochodzenie swego fletu: *„Ce m'est venu de nuit en écoutant santer le rossignoon. Je me pensais dans moi même: Comment, Valmajour, voilà l'oiso du bon Dieu que son gosier lui suffit pour toutes les roulades: et ce qu'il fait avec un trou, toi, les trois trous de ton flûtet ne le sauraient point faire?“* A by złudzenia tego nic nie zatrzćc, staje i ten na czele nieskończonego szeregu tancerzy i w takt rytmiczny swego fletu i bębenka wodzi wkoło farandolę, wstęgę żywą i barwistą, rozwijającą się w figurach naszego poloneza, tylko skoczniej, tylko namiętniej. Kiedyindziej szał taneczny ogarnia całą masę widzów; po szerokich stopniach sunie sznur mężczyzn i kobiet, trzymających się za ręce, porywających z sobą wszystko, aż zmęczone, omdlałe, rozwiązują się te sploty po za bramami areny. Dzisiaj taniec był uczony, więc przyjęty dosyć chłodno; inne tany rozpoczęły się wieczorem; bal ludowy urządzono na placu Lamartine'a. Bal. Dla nas wyraz ten nie może obejść się bez pojęcia przynajmniej sali i posadzki. Ale niedzielne bale tego ludu, lubiącego zawsze mieć niebo nad głową!.. Lada plac posypuje się piaskiem, w jednym rogu stawia podwyższenie dla orkiestry, widzowie stojący wkoło tworzą punkt oparcia dla rozpędzonych par, a raczej dla zataczających się zawrotem głowy po długiem obracaniu się wkoło na jednem miejscu, do jakiej zmuszają kamienie tej niewoskowanej posadzki i wesołość trwa do północy. Pary układają się z góry na całą zabawę i obcemu zabawić się tam w „odbijanego“ niebezpieczna, chyba mu grzeczność kawalera ustąpi tancerki a i wtedy przyjemność cała ogranicza się do trzymania przez chwilę w rękach smukłej i giętkiej kibici... Kto widział rodzinną kołomyjkę, wyobrazi sobie, jak wygląda tu monotonny walc lub „szkocka,“ a nawet „mazurka.“

Główny interes jednak przedstawiał dopiero dzień następny: *ferrada* na błoniach Kamargi, na którą zbiegli się nietylko sąsiedzi, ale nawet paryżanie, między nimi korespondenci kilku czasopism. *Ferrada* w znaczeniu gospodarskiem oznacza cechowanie młodych byczków, chodzących dotąd z matką wolno po trawach tego pysznego stepu. Trzeba tylko pochwycić, oderwać od stada, powalić i napiętnować, potem nałożyć kaganiec, przeszkadzający mu ssać, dopełnić wreszcie innych, gdy potrzeba, operacyj. Coś podobnego musi się odbywać na Podolu; tutaj ścigają zwierzę dozorcy na koniach, urodzonych również w Kamardze, oswojonych ze stadem i niezmiernie zwinnych w wymijaniu strasznych rogów. Konie te na pozór ciężkie, z ołowianą nogą, z grzywą nigdy nie ciętą, przedstawiają śliczny widok prawdziwych synów natury; ma w nich płynąć niebieska krew, krew mauretańska. Dzisiejsza ferrada jednak przeznaczona była jeno dla widowiska: od rana dwukonne wózki ogrodnicze pędziły w szalonym i wesołym galopie na błonia oddalone od miasta o milę; idący pieszo spostrzegał jeno pył, z którego raz po raz dzwoniły wesolutkie śmiechy. Na błoniu ustawiono z wozów ogromną podkowę; wewnątrz w jednym końcu zbudowano zagrodę, gdzie mieściło się 40 chwyconych już ku dzisiejszym gonitwom byków. Po drugiej stronie amfiteatralna estrada; przed drzwiami zagrody 50 dozorców na koniach, z trójzębami i pikami w rękach, oczekuje hasła. Na głos trąbki wypada pierwszy byk, jeźdźcy zabiegają mu drogę, byk się przedziera ku wyjściu za podkowę wozów, gdzie step i wolność. Przebił się za koło, gdzie go już na koniach ścigać nie wolno, tam czekają go ręczni zapaśnicy; już tu nie to, co w arenach, gdzie zagrożony *torero* przeskakuje, chroniąc się, przez balustradę; tu trzeba wręcz chwycić dzikie zwierzę za rogi. Z pierwszym nie udało się; w gwałtownym pędzie przewrócił kilku i w szalonych susach pocwałował... Jeźdźcy stoją znowu na stanowiskach, drugi byk wyrywa się wprawdzie z pod trójzębów, ale w drugiem kole czekają już na jego przyjęcie żylaste dłonie; pieni się, rzuca, naprożno; powalonny odycha ciężko, a na drgającem ciele stawia mu tryumfalnie stopę piękna arlezyanka śród okrzyków i wiwatów tłumu. I tak dalej aż do południa; na pobudkę rozkładają się w mgnieniu oka na trawach białe serwety, tryskają fale humoru i wina. Nagle wpada w improwizowaną arenę spleciony rękami tłum, a na jego czele, wiodąc za rękę śliczną dziewczynę, szpakowaty, a zawsze hoży piewca Mircio. Fryderyk Mistral, za nim mer miasta i paryscy goście i cała rozochocona rzesza. Ot, to farandola, jak ją pojmuje lud, swobodna, porywająca jak uniesienia nieśmiertelnej młodości, wszystkie wieki i wszystkie stany, rozhukana, a przecież artystyczna w swych rytmicznych ruchach, w swych figurach układających się w symetryczne arabeski.

Po farandoli ciąg dalszy ferrady, resztę byków puszczono w step; piesi, konni, wozy i wózki ruszyły do miasta; dozorcy na swych tabunnych dzikich wierzchowcach popisują się ze swą zręcznością; dziewczęta mieszczą się na koniach swych wybranych i ostatnie śpiewy i tententy giną na szerokiej fali Rodanu i w pochylonych wieczornym wiatrem trawach.

I jeszcze nie koniec. Wieczorem w starożytnym rzymskim teatrze, mniejszym niż areny, ale mieszczącym dzisiaj tłum kilkunastotysięczny, ukoronowanie biustu Amadeusza Pichota, przyczem znowu muzyka i wiwaty i mowy w językach prowansalskim i francuzkim. Śród szmerów wyrazy giną, toż i zmęczenie rozwiązuje uwagę, z wagonu, który mię wiezie na zachód, słyszę ostatnie dźwięki tamburyna, w dwunastem świetle księżyca migają sylwetki cy-

prysów i oliw i białe, kamienne wille uśpionych pól...

Maj to miesiąc zbiorowych zabaw Prowancyi; konkursy muzyczne i strzeleckie, zabawy kwiatowe, regaty, wyścigi ściągają zawsze tłum wielotysięczny, który zabawę lubi, toż i chce być bawiony, czy to w cyrku, czy w teatrze. Zeszłego roku o tym samym czasie na konkursie w Nimes zebrani w amfiteatrze, lepiej dochowanym niż arlezyjski, widzowie — a było ich 30 tysięcy— niezadowoleni z wieczornego przedstawienia przy elektrycznem rzekomo świetle ułożyli z wszystkich znajdujących się w arenie ławek i krzeseł kolosalny stos, który podpalony strzelił słupem na 20 metrów wysokim, poczem odtańczywszy wkoło istny sabat czarownic, rozeszli się spokojnie do domu. Gdzieindziej wezwanoby zapewne wojska i armaty, tam sprowadzono tylko oddział saperów i ustawiono w niebezpiecznych przejściach, aby nieobeznani z labiryntami gmachu, nie kręcili karków. Uczestniczyłem raz w przedstawieniu *Fausta* przy otwarciu zimowego sezonu opery. Debiutujący Mefisto okazał się słabym śpiewakiem; zaraz po pierwszych wyrazach wygwizdano go, zahukano, nie pozwolono ciągnąć dalej przedstawienia, póki nie przyrzekł natychmiast zrzec się kontraktu.

Tak się zabawia i tak się gniewa potomek rasy łacińskiej.

Egrot.

LIBERUM VETO.

Poezya ogrodnicza. — Na pobojowisku. — Klęska gradowa. — Nadzieja w buteleczce wody. — Skromne pragnienie. — Bank ziemski. — Napomnienie. — Gdzie można się dowiedzieć. — Wiewiórki i boa. — Dalszy ciąg bankructw. — Upadłość uczciwego przemysłowca. — Obraz wielkiej straty. — Tradycya bibek.

Zadowolenia ludzkie są po większej części tak marne, że główne źródło poezyi tryska w krainie nieszczęść. Natomiast rośliny są najpoetyczniejsze w szczęściu. Ołamana sosna, uschnięta brzoza, podeptany kwiatek — nie nastrajają Muzy do śpiewu, jedynie w zdrowiu i dobrobycie budzą zachwyt. I ten wszakże świat posiada urok w swej niedoli, widzialny dla tych, którzy go ocenić zdołają. Po ogrodach warszawskich i okolicznych przeszła burza gradowa, która zniszczyła drzewa, kwiaty i warzywa. Zaledwie przestały padać kule lodowe, natychmiast wybiegli na pobojowisko znakomici ogrodnicy tutejsi dla obliczenia strat i „opatrzenia rannych.“ Ich skargi i wzruszenia, ich udzielanie publicznie rady leczenia ran, ich przepisy gojenia skaleczeń i dopełniania operacyj — tchną prawdziwą poezyą miłosierdzia. Zdaje się, że widzisz członków Czerwonego Krzyża na polu krwawej bitwy. Klęski poległych i postrzelonych drzew owocowych, koprów, ogorków wznoszą się do wysokości dramatu, a zrozpaczeni właściciele ogrodów wyglądają jak ojcowie synów zabitych. Jeden wpada w chorobę, drugi strzałem z rewolweru odbiera sobie życie, bo postradał całe mienie, inni w pognębieniu odwracają oczy od bolesnego widoku. Doprawdy w tych cierpieniach i żałobie, po za szkodami materyalnemi, tkwi jakiś pierwiastek idealny, który u nas wyrósł na gruncie wzmocnionego i uszlachetnionego zamiłowania do uprawy roślin. Towarzystwo ogrodnicze, rozwijające i pielęgnujące ten zapał, oglądało po gradowej klęsce pierwszy owoc moralny swej działalności.

Niezwykłe zjawisko meteorologiczne, zwłaszcza wobec zagadkowego dotąd pochodzenia gradu, zwróciło uwagę badaczów europejskich. My, jako najbliżsi jego świadkowie, opisaliśmy, odrysowali, odfotografowali kule lodowe i — pocieszamy się, że Nordenskjöld, który zebrał z nich „flaszeczkę wody,“ coś tam wykryje, zwłaszcza, że mu się Warszawa bardzo podobała, bo tu znalazł „Ptolomeusza.“ (Nie wiem, kto tu z kogo żartuje, czy Nordenskjöld ze swych „przyjaciół,“ czy przyjaciele z czytelników, donosząc im, że podróżnik szwedzki po długiem daremnem poszukiwaniu w Europie znalazł „Ptolomeusza“ dopiero w bibliotece Zamoyskich w Warszawie). W kilku pismach pomieszczono artykuły, wykładające, że proces tworzenia się gradu pozostaje dotąd zakrytym, co stanowczo zabrania nam go odkrywać. Pomimo to doznałbym pewnej rozkoszy, gdybym w *Kuryerach* spotkał przynajmniej wiadomość, że „p. X. zamierza przystąpić do badania gradu, który nawiedził nasz gród Syreni.“ Byłaby to zapowiedź tyle obiecująca, co prawie wszystkie „zamiary przystąpienia,“ ale świadczyłaby bodaj, że burza chwilowo natchnęła jednego z przyrodników chęcią samodzielnego popracowania nad ową tajemnicą natury. Pragnienie moje bardzo skromne. Ale bo trudno marzyć o czemś większem w zakresie tej maleńkiej skali, jaką się mierzy nasze własne przyrodoznawstwo, zamknięte w odczytach popularnych, w artykułach dziennikarskich i przekładach. Ubolewamy, że zajęcie się tą gałęzią wiedzy u nas osłabło, ale też i owa gałąź ledwie się zieleni drobnymi listkami.

Bank ziemski w Poznaniu puszcza tak dziwne pędy, że aż *Gazeta polska* wychodzi ze swego epikurejskiego spokoju. Pismo to, w którem zwykle tylko jakiś dobrotliwy (*k*) pełni funkcyę pęcherzyka żółciowego, przyłożyło już kilka plastrów gorczycznych owej instytucyi. Jeden z dzienników poznańskich ogłosił: „Do banku ziemskiego napłynęły znów znaczne stosunkowo sumy aż z Syberyi. Więc już i w krainie lodów biją serca gorącej. Na parcele popyt coraz bardziej się zwiększa; tak samo na dzierżawy małych folwarków od 300 do 400 morgów. Możeby tego rodzaju parcelacya mogła się także okazać korzystną“ — itd. Otóż *Gazecie polskiej* nie podoba się ten „kancelaryjny sentymentalizm.“ Upomina też ona: „Ile pieniędzy wpłynęło, o tem się nie dowiadujemy. Ale uważa za właściwe sekretarz zarządu uraczyć nas sentencyą, że już (!) i w krainie lodów biją serca gorącej. To „już“ jest wzruszające w swej naiwności.“ Dalej sekretarz „powinien sam wiedzieć, czy byłaby taka (300—400) parcelacya korzystną lub nie i zamiast puszczać w świat zagadkowe pytania, które nasuwają domysł, że nie zoryentował się w drogach i środkach, jakich ma używać, powinien poważnie poinformować społeczeństwo o tem, co i jak jest do zrobienia. Jeżeli sam Bank o tem nie wie, kto będzie wiedział?“ Słusznie, ale skoro zbawcy proszą o radę, trzeba im ją dać. Co do mnie, zalecam środek następujący: niech zarząd Banku odwoła się poufnie do niemieckiej komisyi kolonizacyjnej z pytaniem: jakie działy ziemi okazały się dla sprzedaży najkorzystniejsze? Tam pewnie o tem wiedzą. Bez pożyczonej skądkolwiek busoli łódź ratunkowa zbłąka się na morzu dobrych chęci i utonie wraz z całym ładunkiem pasów korkowych. Nie przypuszczamy, ażeby ofiary i wkłady dosięgły cyfry wymaganej przez statut, ale sądzimy, że wielkie kawały podmytego gruntu możnaby uratować od zalewu przy większej umiejętności działania i energii. Poznańczycy w gazetach swoich objawiają nadzwyczajną krewkość, duży rozmach, twardą stanowczość, ale w czynach poruszają się leniwie jak senni. Robią oni ciągle wrażenie ludzi słabych sił i zwątlonej wiary w powodzenie wysiłków. Nie mają sami ufności do siebie i w nikogo też jej wlać nie mogą. Olbrzymi boa, leżący w kotlinie berlińskiej, tak ich shypnotyzował, że gotowi mu wleźć w paszczę jak wiewiórki.

Gdy na chwilę przestały walić się domy handlowe, wmawiano w siebie prywatnie i publicznie, że wicher przewróciwszy kilkadziesiąt drzew wielkich i nałamawszy małych, przeleciał, a pod wypogodzonem nieco niebem nasz lasek ekonomiczny nieco odżyje. Było to różowemi nadziejami haftowane złudzenie. Takiego trzasku i łoskotu, jak na początku roku, nie słychać, ale ruina postępuje dalej. *A stiller Bankerott* kradnie w tym zamęcie nieprawe zyski, ale tu i owdzie żelazna ręka losu miażdży ludzi uczciwych. Niedawno ogłoszono upadłość bardzo poważanemu i szanowanemu właścicielowi fabryki kamieni młyńskich. Jak daleco wierzono w jego rzetelność, dość powiedzieć, że wierzyciele zagraniczni chętnie ofiarowali mu nadal swe należności bez procentu i wszelkiemi siłami pragnęli go podźwignąć. Ktoś nielitościwy z Warszawy powalił go za 1,000 kilkaset rubli. Padł człowiek prawy, a z nim padła gromada pracowników pozbawionych zajęcia. Widok smutny, a coraz częstszy.

Gromem nietylko dla świata finansowego, ale dla szerokich kół społeczeństwa stała się wiadomość o ciężkiej chorobie naczelnika najpoważniejszej firmy w kraju i słusznie szanowanego obywatela. Wiele instytucyj zawdzięcza mu bądź swoje istnienie, bądź pożądany charakter i kierunek. Gdzieindziej usunięcie się takiego człowieka mogłoby być jedynie stratą w zakresie jego stosunków osobistych; u nas, gdzie stanowisko i działalność ludzi czynnych i wpływowych wiąże się z pierwszorzędnymi interesami kraju, szkoda potęguje się olbrzymio. Za zbyt on nam potrzebny, za wiele rodzin polskich opiera się na nim, ażebyśmy o pomyślnym skutku starań lekarskich przedwcześnie wątpić mieli.

Bieda spotyka się u nas często z najbezmyślniejszem marnotrawstwem i to nawet tam, gdzie ono przed nią uciekać by powinno. *Kuryer codz.* donosi, że pewne zgromadzenie rzemieślnicze „znaczną większością głosów“ postanowiło utrzymać zwyczaj „wspólnych poczęstunków.“ Dla wprowadzenia zaś ładu do „bibek,“ ułożono budżet i określono, że z „kasy wsparcia dla wdów, sierot i niedołężnych starców“ ma być wydawanem na ten cel: po każdej sesyi rs. 15, po nabożeństwie kwartalnem rs. 10, po pogrzebie rs. 15, po nabożeństwie w dzień Bożego Ciała rs. 40 — itd. „Smutna to — mówi *Kuryer* — co prawda tradycya, która dla zalania gardła każe krzywdzić wdowy i sieroty.“ Nie w tym jednym wypadku jest ona „smutna,“ ale gdy ktoś powstanie przeciwko jej szkodliwym skamieniałościom, natychmiast obrońcy swojskości wprowadzają go pod pręgierz. Dotąd obiega jeszcze podrzucana mechanicznym ruchem języków nazwa: „wróg tradycyi,“ jako imię na plotkarskiem bierzmowaniu nadane postępowcom, którzy przecie nie chcieliby zniszczyć tego, co stanowi istotę narodu, ale usunąć rozmaite grzyby i narośle. Owo „pewne zgromadzenie rzemieślnicze“ posiada w swem łonie 90% żywiołów ciemnych, w tym też stopniu zasługuje na usprawiedliwienie. Ale co mówić o „inteligencyi,“ która — na wzór zasady: *credo quia absurdum*— powtarza ciągle: *dobre, bo tradycyjne?*

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Kalkulacya chłopska. — Starania i zawód Tow. popierania przemysłę i handlu. — Warzywnicy nad Pilicą. — Projekt szkoły ogrodniczej w Kijowie. — Los pszczelnictwa włościańskiego na Litwie.— Muzeum warszawskie w niebezpieczeństwie. — Przyczyny pożarów. — Franek sierdzisty.

Nie każdy chłop jest Prusowskim Ślimakiem. Gdy ciało mu zanadto rozrasta w skorupie, zrzuca ją, by znaleźć szerszą *placówkę*. Mieszkaniec ciasnej chaty, nawykły do mro-

ku, musiałby poomacku szukać wygodniejszego schronienia, gdyby nie usłużni *geografowie*, próbujący spożytkowywać swe zdolności w *oświecaniu* siermiężnych. Napełniają ich mętną wyobraźnię bogactwem dalekiego Wschodu, lub chlebodajnością wspaniałych stepów amerykańskich. Uczniów chętnych nie brak, między nimi nie zbywa też na śmiałkach, co jadą łapać tęczę pod chmurami. Pośród nauczycieli muszą być i patryoci, przekładający znajomość kraju rodzinnego nad obce dziwy świata. Dziełem ich bywają takie np. wypadki. W Szczekarkowie, pod Kazimierzem, włościanie, wyprzedawszy swój grunt sąsiadom po 150—175 rs. za morgę, nabyli go w Siedleckiem, płacąc za całą włókę tylko po 1,700 rs. *Gaz. lubelska*, podając szczegół powyższy, nazywa go *kalkulacyą* chłopską. Wpierw nim zrodził się ten zmysł, musiano mu odpowiedni podkład przygotować. Szkoda, że nie wiadomo, w jakich sferach ukrywa się tak potężny ogrodnik, co może chłopa, duszą i ciałem w swą ziemię wrośniętego, przesadzić z pożytkiem na inną glebę.

W tych samych stronach, gdzie jest za ciasno, przemysł drobny rozwija się pomyślnie. Włościanie pow. nowoaleksandryjskiego uprawiają przeważnie sadownictwo, które daje dochodu około 60,000 rs. rocznie, jak utrzymuje *Gaz. lubelska*. Nadto pszczelnictwo przynosi niespełna 6,000, a wyroby koszykarskie z łoziny 3,000 rs. Prócz tego wybitne miejsce tam zajmują w osadach: garbarstwo, szewctwo, bednarstwo, kuśnierstwo, stolarstwo, kowalstwo, wyroby sukman i czapek, powroźnictwo, garncarstwo. Wszyscy rzemieślnicy mają surowy materyał z pobliża. Rynki zbytu tamże, podczas jarmarków, odbywających się po kolei w osadach. Wskutek wielkiego współzawodnictwa wyroby tak są tanie, iż nie każdy może wytrwać przy swem rzemiośle. Ci tylko, co posiadają po kilka morgów ziemi, śmielej patrzą na świat.

W Warszawie IV sekcya popierania przemysłu i handlu ułożyła kwestyonaryusz w błogiej nadziei, że się posypią odpowiedzi, z których można będzie zobrazować dzisiejszy stan rękodzieł włościańskich, tudzież dać szereg wskazówek praktycznych. Niestety! Nasza „inteligencya" ma widać tak ważne sprawy na głowie, że nie raczyła zwrócić uwagi na pokorne prośby ciekawych. Na *tysiąc* przeszło odezw, zaledwie *sto dwadzieścia* odpowiedzi nadpłynęło. Z *dwudziestu* powiatów nie otrzymano żadnej wiadomości. Z tych skąpych danych wywnioskowano, że w niektórych miejscowościach przemysł ludowy o silniejszem tętnie może nabrać tyle mocy, aby odważnie chwycić się za bary z konkurencyą fabryczną i przemytniczą. Przy ubóstwie szczegółów badanie dostarczyło sporo wskazówek, jakie środki będą skuteczne: szkoły specyalne, elementarne wiejskie z nauką rzemiosł, nauczyciele wędrowni, zaprowadzenie takichże wykładów w seminaryach nauczycielskich, zakupywanie dla każdej gminy wspólnego ręcznego warsztatu do przędzenia itd. Środki zachęcające: wystawy powiatowe, agentury do sprzedaży wyrobów domowych, odpowiednie towarzystwa zachęty, kasy pożyczkowe, nagrody, sprzedaż na raty warsztatów, narzędzi, zakładanie szkółek włościańskich. Sekcya wystąpiła od siebie do zarządu swego z wnioskiem wyjednania u władzy wprowadzenia do szkół elementarnych wiejskich wykładów pewnych gałęzi przemysłu domowego. Dołączono przytem wykaz miejscowości, gdzieby najlepiej dało się to zastosować. Wreszcie delegacya starała się na drodze praktycznej dopomódz tej sprawie, lecz napotkała na zbyt twardą obojętność tych, co wiele czynią w obronie własnej, a zamykają oczy, gdy mara obowiązków społecznych przed nimi stanie.

Dzielni pradziadowie włościan z nad Pilicy mądrość swą dzisiejszym potomkom przekazali, nie przeczuwając jeszcze wtedy, że nad dolą chrabąszczów nawozowych będą głowy suszyć działacze rozmaitej natury. Lepiej wyszli na ufności we własne siły. Między Nowem-Miastem a Promną mieszkańcy kilku wsi zajmują się wyłącznie warzywnictwem. Miłośników tej gałęzi gospodarstwa jest przeszło tysiąc (bez żyda!). Sama natura wybornie im sprzyja, gdyż napływy rzeki są doskonałą próchnicą z domieszką soli mineralnych i gliny. Przestrzeń zajęta pod uprawę wynosi od 6 do 7 wiorst. W braku odpowiedniej ilości własnych gruntów, nadpiliczanie część dzierżawią od kilku zamożnych właścicieli, po 7 do 10 kop. rocznie od pręta. Dobry przykład skutecznie oddziaływa na dalsze okolice. Hodowla warzyw wzorowa. Jedyną słabą stroną — nieznajomość inspektu, co wpływa na brak wczesnych płodów. Pomimo to Warszawa dostaje stamtąd najpierwsze ogórki; chłop zbiera po 200 i więcej rubli ze sprzedaży jednego wozu. Według opinii p. Edmunda Jankowskiego, sposób obsiania i obsadzania zagonów jest tak świetny, jak w niewielu krajach o wysokiej kulturze. Gospodarze ci zaopatrują rynki o kilkanaście mil odległe (Warszawa, Radom, Piotrków itd.). Przemysł opłaca się; dowodem wzrost przestrzeni łąk, na ten cel wydzierżawianych. Na wiosnę kobiety z pod Przybyszewa odbywają wędrówki po dalekich wsiach i miasteczkach, roznosząc i sprzedając „na miarki" doskonałe nasiona warzywne. Nabywców chętnych mnóstwo. Od jak dawna duch przedsiębiorczy panuje śród tamtejszego ludu, tradycyi nawet niema. Podobno nauczycielami ich byli niegdyś benedyktyni z opactwa borowskiego. Więc nietylko likier pozostawili w spuściźnie.

Zjawisko nad Pilicą tak jest ciekawe, że warto je szerokiemi oczami oglądać. Chłop sam toruje drogę bytu, gdy inni czynią dopiero przygotowania, by los mu polepszyć. Jeżeli będziemy mieli siebie tylko na względzie, to nie zawsze brak pośpiechu i energii naszą jest winą. Mamy wielu ożywionych gorącą chęcia działania, ale... bezrękich. Szkoła ogrodnicza rozwijała się dość szybko, zapowiadano świetną przyszłość; fatalizm ją dotknął... Oby lepiej było w Kijowie, gdzie komisya Towarzystwa rolniczego opracowuje projekt zakładu, obejmującego ogrodnictwo, sadownictwo i pszczelarstwo. Zadaniem jego ma być szerzenie wiadomości praktycznych pomiędzy nauczycielami i nauczycielkami szkół elementarnych. Przydałoby się to i na Litwie, gdzie hodowla pszczół w pierwotny sposób się odbywa: w barciach lub przytwierdzonych wysoko na drzewie ulach, rozproszonych na łasce ludzkiej i niedźwiedziej po lasach. Wielcy posiadacze ziemscy przyszli tam do wniosku, że gałąź ta gospodarstwa włościańskiego mało pożytku, a wiele szkody przynosi, bo lud, pod pozorem doglądania swojej własności, z cudzej korzysta. Dalej tedy oczyszczać lasy z pasiek chłopskich! Odtąd pszczelnictwo po wsiach coraz bardziej zanika. Kto wie, czy nie zamrze i Muzeum warszawskie, jeśli jaka cudowna pomoc z niebios nie spadnie. Dotąd jeszcze połowy udziałów nie rozebrano. Skutki tego bardzo dotkliwe; w przeszłym roku musiano zrzec się zamówień na 10,000 rs.! Haniebny fakt!

A jednak czyż można zaprzeczyć, że się rozwijamy społecznie? Stowarzyszenia powstają coraz nowe. „Lutniści" warszawscy dali świetny przykład; w Częstochowie takież kółko się zawiązuje, gdzieś w innem miejscu rzemieślnicy idą tym samym tropem. Będziemy chórem cnoty swe opiewać! A „cykliści"? Nabierają potęgi; w Radomiu jest już „cyklodrom" dla wyrabiania dzielnych mężów, rozgrywających zakłady na rynkach miejskich, ku wielkiej uciesze prasy prowincyonalnej, która skrzętnie notuje takie objawy żywotności narodu, zaznaczając, ile razy bohater w drodze spożywać raczył pokarmy i napoje. Muzeum pszczelnicze samo sobie winno. Po co usiadło w jakimś kącie zapadłym przy uliczkach z parkanów? Czemu się w błyskotki nie ubrało i na jarmark nie wyszło tłumy zadziwiać? Litwinki, ukrainki, podolanki i wołynianki nie wstydzą się jego skromności, przybywają z daleka zaczerpnąć nauki dla urządzenia pasiek wzorowych u siebie. Dotychczas stać na to tylko zamożne; biedniejsze muszą i nadal hodowlą drobiu się zadawalniać. Prenumerator *Wieku* z Dobrzyńskiego słusznie zwraca uwagę, że tysiące rubli co rok płacimy za sprowadzane z zagranicy owoce tych samych odmian, jakim najzupełniej odpowiada nasza gleba. Mimo to krajowe sady nędzne. Nawzajem tysiące rubli moglibyśmy brać za miód, wosk, jedwab, ryby, uprawy róż, nasion, chmielu itd. Zakład na Koszykach przy odpowiednim funduszu mógłby rozszerzyć zakres wykładanych przedmiotów. Ratowanie tak pożytecznej instytucyi jest obowiązkiem ziemian przecież ze względu na własne ich dobro. Duchowieństwo wiejskie, mające dziś jeszcze wpływ na parafian, powinnoby pójść w ślady ojców benedyktynów z opactwa borowskiego.

Więcej uwagi na życie ziemskie niż pozagrobowe w stosunku moralnym pasterzy do owieczek ochroniłoby nieraz te ostatnie od klęski i cierpień w pielgrzymce doczesnej. Niema tygodnia, iżby korespondenci prowincyonalni nie notowali pożarów pochłaniających wioski i miasteczka. Najczęściej przyczyną tego bywa palenie papierosów przez podrostków. Chłop zmęczony ciągłą pracą, obojętny na wszystko, co się koło niego dzieje, nie zwraca uwagi na malców, demoralizowanych przez szynkarzy, niebezpiecznych współzawodników wyższej potęgi duchowej. W niektórych wsiach w Rowieńskiem, włościanie, otrząsnąwszy się z senności, zabronili chłopcom palenia, a szynkarzy, dostarczających papierosów dzieciakom, postanowili wydalić ze wsi. Korespondent *Wieku*, donosząc o tem, pyta, dlaczego w koloniach czeskich, również gęsto zabudowanych domami o dachach słomianych, rzadko bywają pożary. Czesi w tym razie mają naturę zbliżoną do niemieckiej. Dzieci posyłają do szkół, a najważniejsza, iż karczmarze nie mają pośród nich miru. W jakich warunkach zrodzili się ludzie pozbawieni instynktu samozachowawczego? Taką zagadkę psychologiczną przedstawiają mieszkańcy Równa, gdzie podczas pożaru, zamiast narzędzi ratunkowych, znalazła się tylko *jedna beczka*, ciągniona przez służbę miejscowego aptekarza, zarazem głowy miasta. Z rozbudzeniem się natury przybywa nowe źródło ognia: pioruny. Znany jest zabobon ludu: zarzewia rzuconego na ziemię przez siłę niebieską niewolno gasić. Z tego powodu nieraz ogromne wsie idą z dymem, a ich mieszkańcy patrzą nieruchomie na własną ruinę. Dziwna rzecz, iż duchowieństwo, posiadające tyle barw jaskrawych dla odmalowania męczarni piekielnych, do łez rozczulających pobożnych słuchaczów, nie zdołało dotychczas wyplenić z ciemnych umysłów tak groźnego przesądu.

Z wędrówki tygodniowej niosę grom spadły na moją głowę za kilka uwag zrobionych szlachcicowi. Franek tak srodze się rozsierdził, iż nogami i rękami uczepił się mego *widnokręgu*. Czytanie moich artykułów „więcej wymaga cierpliwości *jak* zastanowienia." „Rozczulony wzmianką o sutannie, nazwałeś mnie *Frankiem-żarłokiem*... „Trudno być drogowskazem, a nawet Drogomirem *tylko*" (?). Nie dowiodłeś, kochany panie, ani cierpliwości, ani zastanowienia nawet nad tak skromną rzeczą, jak mój *widnokrąg*. Wszakże miałem na myśli nie siebie, lecz wszystkie pisma postępowe, które pożerasz przy słabej zdolności trawienia (stąd pana nazwałem *żarłokiem*, a nie z czułości). Dlaczego trudno być Drogomirem? Czyż to imię więcej ma przywilejów niż

Gawel i Pawel? Nie celne strzały dajesz pan w piętę. Po co było żółć swą wyczerpywać na oddzielny artykuł w *Gazecie radomskiej*, by pozostać... z trawą urwaną w garści?

Drogomir.

PRASA ROSYJSKA.

Wilenskij Wiestnik zajmuje się „kwestyą sporną," mianowicie językiem w nabożeństwie dodatkowem prowincyj północno-zachodnich. Dwaj głośni publicyści rozcinali ten węzeł: Katkow i Aksakow.

Dowodzenie pierwszego — według *Wiestnika* — proste i jasne.

„Polonizm w kraju zachodnim nie jest pojęciem etnograficznem, jak nad Wisłą, lecz politycznem, zaszczepionem na ludności niepolskiej, zapomocą środków sztucznych, do liczby których należy przedewszystkiem utożsamienie polskości z katolicyzmem i gwałtowna propaganda katolicyzmu na rzecz polskiego języka, uznanego za obowiązujący przy nabożeństwie. Dzięki temu pomieszaniu, otrzymujemy taki łańcuch argumentacyj: każdy katolik uważa język polski za obowiązujący w kościele, wskutek tego język polski wnika w rodzinę i staje się rodzimym, a kto mówi po polsku, jest polakiem, a zatem każdy katolik jest polakiem. Zapomocą takich to środków polonizm rozszerzył się na wschód bardzo daleko po za granicę etnograficznej Polski i wywalczył sobie prawo obywatelstwa wszędzie, gdzie dźwięczy mowa polska.

Zdanie Aksakowa jest zupełnie przeciwne. Rolę dwóch czynników spolszczenia zachodniej Rosyi, polonizmu i latynizmu, redukuje on tylko do latynizmu.

Latynizm w naszym kraju zachodnim, powiada on, jest to termin polityczny, identyczny z narodowością polską, jako pojęciem politycznem. Cokolwiek opowiadają o niełączliwości religii z pojęciem narodowości państwowem, jakkolwiekby starano się z języka rosyjskiego utworzyć zasadę podstawową i najistniejszy warunek politycznej spójni w Rosyi, rzeczywiście w kraju Zachodnim nie język wyróżnia od siebie narodowości, lecz wyłącznie wyznanie. Spolszczenie rosyan dokonywało się przez przyłączenie do Kościoła i stąd też rosyanin katolik stawał się polakiem. Rosyanie pozostawali rosyanami do tej pory, dopóki narodowość polityczna polska, dzięki jezuitom, nie utożsamiła się z latynizmem i dopóki rosyanie nie zwracali się do katolicyzmu. Tym sposobem latynizm w tym kraju, (nie zaś język polski i administracya) stał się historyczną dźwignią duchową, która skierowała część ludności rosyjskiej na tor rozwoju polskiego. Bezsprzecznie język posiada ogromną doniosłość, wszakże nie jest on bezwarunkowo potrzebny, aby zostać polakiem. Żmudzinów fanatyzowali księża na rzecz polskiej sprawy, przemawiając wszakże do nich po żmudzińsku.

W r. 1866 ustanowiono w Wilnie komisyę rewizyjną do spraw duchowieństwa rzymsko-katolickiego. Komisyi tej powierzono kwestyę języka w dodatkowem nabożeństwie. Większość członków przychyliła się do usunięcia go oprócz czterech, którzy byli odmiennego zdania i tylko ci czterej członkowie wyłożyli swoje motywy na piśmie; motywy te odesłano do Petersburga, sprzeczne zaś pozostały w kancelaryi na tej zasadzie, że rzecz w ich duchu wyczerpująco wyjaśniły *Mosk. Wiedomosti*. Było to w r. 1867, a więc w epoce polityki zbliżenia; zresztą ówczesny generał-gubernator kraju Zachodnio-Północnego skłaniał się ku stronie owych czterech członków. Można przypuszczać, że Aksakow znał ich opinie, że one wywarły wpływ na jego sądy.

Zasadnicza myśl jego polega na tem, że nie język jest wyłączną oznaką narodowości, lecz wyznanie. Zgodziwszy się na to, wypadłoby przypuścić, że polacy stanowią jedyny pod tym względem wyjątek. Trzeba byłoby jednak silnych argumentów, aby tego dowieść. Jakiejkolwiek mocy są argumenta Aksakowa, pozostaniemy przy zdaniu, że w obecnym czasie podstawą narodowości jest wyłącznie język. Jest to pewnik niepotrzebujący dowodzenia, stwierdzony faktami historycznymi. Anglicy, francuzi, niemcy, wyznają różne religie, lecz to nie przeszkadza im odczuwać jedności narodowej.

Niemiec, luter, katolik, prawosławny, ateusz, jest niemcem, dokąd niemiecki jest rodzimym jego językiem. Może atoli wyłącznie dla polaków i rosyan religia stanowi tło narodowości. Aksakow utrzymuje to kategorycznie. Lecz jakże wytłomaczyć, że ewangelicy w kraju zachodnim są tacy sami polacy, jak i katolicy? Podobnież wiadomo, że żydzi warszawscy czynny przyjmowali udział w powstaniu r. 1863, uczestniczyli w demonstracyach ulicznych, wysyłali deputacye, podpisywali petycye itd., jednem słowem okazali niewątpliwą sympatyę Polsce. Cóż ciągnęło żydów do polaków? Czy jedność religii, czy też przyswojenie polskiego języka i kultury?

Godny przytem uwagi jest i ten fakt, że stopień sympatyi, okazywanej polakom przez żydów, był wprost proporcyonalny do stopnia cywilizacyi tej lub owej warstwy żydów."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Rada Państwa orzekła, że komisya gubernialna winna poddać powtórnej rewizyi każdą osobę, która wniesie skargę na nieprawidłowe przeznaczenie do służby wojskowej lub określenie wieku z powierzchowności. Jeżeli co do obu powyższych punktów nie nastąpiła jednogłośna decyzya w komisyi powiatowej, wysłanie do wojska ulega zawieszeniu; co zaś do skarg, pochodzących od osób, w których sprawie nastąpiła wzmiankowana decyzya, badanie powtórne zależy od postanowienia komisyi gubernialnej. W tym ostatnim wypadku wysłanie rekrutów na punkt zborny ulega zawieszeniu, a powtórna rewizya odbywa się w komisyi gubernialnej, w której okręgu znajduje się rekrut.

Sądy. Andrzej Brzostowski za zabójstwo polityczne w r. 1863 spełnione na włościaninie Wenglerze skazany został przez warszawski sąd okręgowy na 10 lat ciężkich robót i osiedlenie w Syberyi.

W Tygodniku ilustrowanym p. L. Jenike, przytaczając odnośny paragraf ustawy, przypomina uniwersytetowi warszawskiemu obowiązek ogłaszania nazwisk studentów, korzystających ze stypendyów Kopernika, na które fundusz zebrany został wyłącznie staraniem prasy polskiej. Od lat 10 nie dopełniono tego obowiązku ani razu. „A jednak — powiada p. J. — i przepis stanowczy ustawy i wreszcie choćby samo poczucie konieczności poddania szafunku grosza, złożonego przez ogół, kontroli moralnej tegoż ogółu, powinny były sprawie tej nadać więcej jawności. ...Dziesięcioletnie milczenie przypisać chyba można przepomnieniu o przepisie ustawy."

Julian Konstanty Ordon, oficer b. wojsk polskich, którego Mickiewicz uwiecznił w jednym z utworów swoich, 75-letni starzec, odebrał sobie życie we Florencyi. „Pragnę śmierci od kuli — mawiał — a ponieważ nie mam nadziei, aby mię zaszczyt ten spotkał na polu bitwy, przeto muszę sobie sam poradzić."

Tyfus plamisty i brzuszny szerzy się epidemicznie we Lwowie.

Dar. Zmarły niedawno w Warszawie dr Rubinstein przeznaczył dla Towarzystwa lekarskiego cenną bibliotekę, złożoną z 1,000 tomów.

Projekt nowej ustawy o niewypłacalności dłużników wniesiony został do Rady państwa.

Pożar. W jednej z największych kopalni węgla kamiennego w Belgii, pod Mons, wybuchł pożar. Zginęło kilkuset górników.

Hypnotyzm. Na posiedzeniu Towarzystwa psychiatrów w Paryżu dr Ochorowicz uśpił ucznia gimnazyum i kazał mu powtórzyć z pamięci kilka stronic z przeczytanej przez siebie książki. Młodzieniec doskonale polecenie wykonał.

Ograniczenie. Z powodu zamierzonego podniesienia opłaty od wyrobów tytoniowych, urząd akcyzy czyni starania, aby fabrykanci nie przygotowali nadmiernej ilości towaru na zapas, gdyż obanderolowanie przed terminem zwiększenia podatku przyniosłoby szkodę skarbowi.

Zapis. Zmarły Franciszek Kamiński, obyw. ziemski, cały swój majątek przeznaczył na stypendya dla niezamożnych studentów wyższych zakładów naukowych w Król. Polskiem, wyznania katolickiego z rodziny Kamińskich lub Bartkowskich, a w braku tych dla innych, odznaczających się w naukach.

We Lwowie zawiązało się towarzystwo pod nazwą: „Oświata — galicyjskie stowarzyszenie pomocy naukowej dla uczniów i uczennic szkół ludowych, wydziałowych i średnich." W zakres działalności wchodzi opłata wpisów, wypożyczanie książek, sprawianie odzieży itd.

Wielki pożar szerzył się w Konstantynopolu. Spłonęło 800 domów.

Poemat sanskrycki otrzymała królowa Wiktorya od uczonych indusów w Bengalu, z powodu 50-letniego panowania. Książka pisana ozdobnie na pergaminie, oprawiona w okładkę bogatą.

List Kolumba oryginalny, pisany 2 kwietnia 1503 r. z Sewilli do królewskiego obozu, jest do sprzedania w Nowym-Yorku za 40,000 dolarów.

Na budowę domów dla szkół elementarnych w gub. siedleckiej i suwalskiej przeznaczono w r. b. 80,000 rubli.

Klasy przygotowawcze w szkołach realnych prywatnych będą zamknięte z rozporządzenia władzy na tej zasadzie, iż zakłady prywatne muszą stosować się do programu rządowych, ostatnie zaś nie posiadają klas wstępnych.

W Rydze otwarto wystawę rzemiosł, zawierającą bogate zbiory sreber, różnych pamiątek, mebli i naczyń, przechowanych przez cechy starożytne.

Niedbałe rusztowania. Kamienicznicy przez wzgląd na własną kieszeń szafują życiem ludzkiem. Niedawno podczas odnawiania domu przy ul. Chmielnej załamało się rusztowanie; jeden z robotników spadł z wysokości trzeciego piętra, silnie się pokaleczył na całem ciele i złamał nogę w trzech miejscach.

Wielki orkan szalał w dniu 22 z. m. na północno-wschodniem wybrzeżu Australii. Około 40 okrętów zginęło, a w nich kilkaset osób.

Jerzy Lapecht, warszawianin, na kongresie astronomicznym w Paryżu odczytał pracę wielkiej wagi praktycznej o zastosowaniu fotografii do badań widnokręgu niebieskiego.

W Sandomierskiem powstała fabryka wyrobów ceramicznych. Wytwarza rury kanalizacyjne, piece kaflowe, cegły ogniotrwałe itd. Dotychczas wyroby te sprowadzano przeważnie z zagranicy.

Ospa silna szerzy się w gub. mińskiej. Nietylko dzieci i dorośli, ale i starcy podlegają tej chorobie.

Sztuka. Matejko ukończył nowy obraz treści religijno-historycznej: „Iwo Odrowąż, poświęcający kamień węgielny pod kościół." Płótno to przeznaczone do mającego powstać w Iwoniczu kościoła.

— „Słownik malarzy i rysowników polskich" przez barona Kastawieckiego, wyszedł w powtórnem wydaniu staraniem Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu.

— Tow. muzyczne ogłasza konkurs na rok bieżący: 1) na napisanie wierszem rytmicznym tekstu polskiego do mszy, z terminem ostatecznym do 15 czerwca r. b.; pierwsza nagroda 25, druga 15 rs. 2) Na napisanie muzyki do powyższego tekstu, na cztery głosy mięszane, z towarzyszeniem organów i z partyturami solowemi; termin 1 grudnia r. b.; pierwsza nagroda 100, druga 60 rs.

— D. 1 maja upływa 30 lat od czasu utworzenia nowej orkiestry antraktowej w teatrze Rozmaitości pod dyrekcyą p. Leopolda Lewandowskiego.

Uniwersytet w Warszawie ogłosił następujące tematy, nagrodzone medalami: "O równaniach modularnych," „Rozwiązanie zadania Keplera," „Rozbiór krytyczny istniejących wniosków II prawa mechanicznego teoryi ciepłoty i hipotez kinetycznych." Wydział lekarski: „Możliwie wyczerpujące zbadanie anatomiczne *helix pomatia*," „Opisać infusorye żyjące w grupie rakowatych rodzaju *gammarus* z okolic Warszawy." Wydział historyczno-filozoficzny do tematów dawniejszych dołączył jeszcze jeden: „Bukoliki Wirgiliusza i stosunek ich do idylli Teokryta."

Jan Busse, syn obywatela z Płockiego, otrzymał posadę profesora filozofii w Tokio.

W Król. Polskiem rząd nabył prawa do odkupienia od towarzystw akcyjnych: kolei Wiedeńskiej od 1 listopada 1877 r., Bydgoskiej od 1 stycznia 1883 r., łódzkiej od 1 lipca r. z. i Terespolskiej od 18 kwietnia r. b.

Kunstverein wiedeński ofiaruje członkom swoim za r. 1886 jako premia dwa miedzioryty, wykonane według obrazów Józefa Brandta i Alfreda Kowalskiego.

Przytułek dla sierot po robotnicach powstaje obecnie w Warszawie przy ul. Litewskiej, staraniem p. Leona Lanvala. Będą przyjmowani chłopcy tylko wyznania katolickiego. Wprowadzoną zostanie początkowa nauka i rzemiosła.

Slovansky Sbornik w Pradze czeskiej umieścił kilka artykułów o naszem piśmiennictwie, tudzież wyliczenie wszystkich dzieł Kraszewskiego, przełożonych na język czeski. Jest ich 64.

Prasa. Tygodnik *Wędrowiec* przeszedł na własność p. Wacława Holewińskiego.

W kraju Nadbałtyckim, jak donosi *Rizskij Wiestnik*, wkrótce się rozpocznie przekształcenie szkół średnich z wykładowym językiem niemieckim na rosyjskie.

Zmarli. Julian Rechniewski w Libawie, b. redaktor *Dzien. Minist. Oświecenia*, urodzony w Płocku 1824 r. Pisał o stosunkach włościańskich w Królestwie Polskiem.

— Zenon Brzozowski, towarzysz podróży Słowackiego do Egiptu.

— Dr Kempner, rodem z Kalisza. 20 lat zajmował katedrę w uniwersytecie berlińskim.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. H. Wr. A my do tego przywykliśmy i wcale to nas nie dziwi, że pisma, które skwapliwie donoszą o psie z zakręconym pod spód ogonem, nie wspominają o wyjściu wielkiego dzieła. My tylko dziwimy się sobie, że mimo doświadczenia posyłamy im egzemplarze książki.

P. Kaz. Sch. „Historyę wieku XIX," jako dodatek nadzwyczajny, otrzymają w grudniu tylko ci, którzy prenumerowali *Prawdę* przez rok cały. Zgodzi się Pan na to, że trudno kosztujące parę rubli dzieło dawać tym np., którzy zaabonowali pismo na ostatni miesiąc i zapłacili kop. 70.

P. M. Pol. w Can. Adresu nie znamy; książka wyszła w drukarni Nasiorowskiego, ul. Czysta 8, kosztuje bez przesyłki kop. 60.

S. N. J. „Natchnienia" w dawnem pojęciu nauka dzisiejsza nie przyjmuje, ale uznaje osobne stany psychiczne, warunkujące twórczość poetycką.

Proz. Ach, Panie, ile my odbieramy skarg na nadużycia konfesyonału! Dzieją się rzeczy gorsze. Ale cóż pomoże publiczne karcenie? Rozumny ksiądz będzie zajmował się sumieniem spowiadanych, a nierozumny — pismami postępowemi, Darwinem, Voltairem, kanalizacyą — wszystkiem, co do niego nie należy i o czem nie ma pojęcia.

P. Józef. Sz. w Kazaniu. Gramatyka Małeckiego (rs. 1.20), Słownik Dubrowskiego (rs. 6.—), przesyłka obu 75 kop.

Jednemu z prenumeratorów. Czy literat jest doktorem filozofii, czy samoukiem — o to nie chodzi, ale o to, ażeby posiadał odpowiednie uzdolnienie i naukę, a nie był ciemnym rzemieślnikiem pióra.

OFIARY.

Na biednych: X. X. kop. 30.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Мая 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.